EPOKA

ROK III. | Warszawa, 20 października 1936 r. | Rok, III Nr. 10 (75)

Treść numeru:

WYCHODŹCY CZY BANICI?

Emigracja jest wynikiem niewspółmiernego podziału na całej kuli ziemskiej trzech współczynników wytwórczości, t. j. surowców, kapitału i rąk roboczych. Wyrzuceni za granice ojczystego kraju i zepchnięci na najniższe szczeble drabiny społecznej, ludzie zdolni do pracy, którzyby w innych warunkach ustrojowych tworzyć mogli potęgę gospodarczą i wspaniale pomnażać dorobek materialnej cywilizacji macierzy, stają się wędrownymi poszukiwaczami chleba na obczyźnie.

Doniedawna jeszcze Polska zajmowała poczesne miejsce w rzędzie państw, które nadmiar swego przyrostu naturalnego, stanowiącego żywą potencję wytwórczą, wyrzucały daleko po za swoje granice, nie osiągając tego szczebla rozwoju, któryby pozwalał zamiast setek tysięcy ludzi wywozić tysiące ton towarów, wytworzonych przez nich w kraju.

Dopóki Stany Zjednoczone trzymały otworem swoje porty dla wchodzących widm-okrętów, obładowanych partjami białych niewolników, dopóki też wolno było w kwitnących i rozległych gospodarstwach rolnych junkrów pruskich zatrudniać i łupić na modłę pańszczyźnianą polskich najmitów sezonowych, rzeką płynących „na saksy", lub dopóki czarne czeluście francuskich i westfalskich kopalń wchłaniały bez ograniczenia olbrzymie masy zbytecznych w kraju górników, dopóty przyrost naturalny w warunkach naszego gospodarczego zacofania i niedorozwoju nie był tak groźny, jak obecnie.

Ale, gdy w 1924 r. Stany Zjednoczone zablokowały swoje porty przed naszem wychodźtwem, a w 1931 r. zamknięto granice Niemiec dla rzeszy bezrolnych chłopów, spauperyzowanych na wzór hinduski, i gdy wreszcie na domiar złego wezbrała w ostatnich latach powrotna fala przymusowego wychodźtwa, zaostrzyło się w wysokim stopniu zagadnienie populacyjne i zagadnienie bezrobocia w Polsce.

Siedem ponurych i chudych lat zastoju i kryzysu gospodarczego, które jednakże nie powstrzymały wydatnie przyrostu naturalnego, wyrażającego się w tym czasie cyfrą czterech miljonów głów, zaogniło także i wysunęło mocno zagadnienie emigracji. Podniesiono tedy u nas, wzorem Włoch i Niemiec, kwestję kolonizacji i surowców. Równorzędnie

przypisano sprawie żydowskiej znaczenie państwowe tak wielkie, że rząd polski wyniósł ją na forum międzynarodowe.

Każdy światły i sprawiedliwy Polak, który nie poddaje się szalejącej dziś epidemji antysemityzmu i posiłkuje się nowoczesnymi pojęciami o formach bytu i rozwoju społecznego, widzi w konkretnie wysuniętym zagadnieniu wychodźtwa stronę czysto życiową, wywołaną przez przyczyny gospodarcze. Nie wymagają one bliższych wyjaśnień po za stwierdzeniem, że emigracja Żydów, jako wynik obecnego układu stosunków gospodarczych i ustrojowych, winna być ułatwiona, tak samo zresztą, jak emigracja tej części ludności polskiej, która z tych samych przyczyn, niestety, stanowi obecnie ów tragiczny „nadmiar".

Emigracja Żydów nie może mieć jednak jakichkolwiek cech banicji. któraby przypominała ponure praktyki średniowiecza. Tutaj wzdrygnąć się musi sumienie każdego Polaka, nie dotkniętego zarazą nienawiści wyznaniowej czy rasowej.

Ciemne żywioły reakcji podnieść usiłują chimerę wypędzenia kilku milionów Żydów do znaczenia polskiej racji stanu, a swoje rojenia o banicji całej ludności żydowskiej i podeptaniu jej praw ludzkich i obywatelskich narzucić pragną jako hasło patriotyzmu. Natomiast dla polskich żywiołów przyszłości istotnem zadaniem patriotyzmu jest stworzenie warunków, w których cała ludność odrodzonego Państwa będzie stanowiła potężną siłę wytwórczą we wszystkich dziedzinach zbiorowego życia i wolna będzie przez to samo od pasożytujących żywiołów wszelkich wyznań. Ale na tej drodze, wiodącej do rozkwitu i wielkości Polski, nie mogą się rozlegać nędzne moralnie i nieprzytomne politycznie hasła banicji.

ZŁUDZENIA DEMOKRACJI

Liczenie na cudze siły, oczekiwania ratunku z rąk obcych: oto — niechybny znak niemocy; oto — zewnętrzne znamię ukrytej choroby wewnętrznej. O tezie tej, jeśli gdzie, to w Polsce, zdawałoby się, nie trzeba przypominać.

Wszak całe 150 lat dziejów naszego upadku politycznego było dziejami słabości, która wciąż rachowała na czyjąś obcą potęgę; wciąż wyzwolenie Polski łączyła z cudzym mieczem lub cudzą dyplomacją.

Ale siłą pokus i złudzeń, którym ludzie ulegają i którymi przesłaniają sobie rzeczywistość, jest tak nieprzeparta, że, sto razy obalone, odnawiają się po raz setny i pierwszy. Po raz tysiączny kuszą i łudzą. Jak niegdyś szlachta polska, wzdychając za niepodległością, gotowa była losy jej składać w ręce wschodnich i zachodnich poręczycieli, byle tylko rękojmi i dźwigni jej nie szukać tam, gdzie spoczywały one naprawdę, w łonie ludu chłopskiego, tak samo dziś demokracja, zagrożona inwazją faszyzmu, czyli dyktaturą burżuazji, ogląda się na różne strony i oczekuje ocalenia zewsząd, tylko nie od sił swoich własnych, tkwiących w nieprzeliczonych zastępach świata pracy.

Niemoc trawi demokrację polską, ale przyznać trzeba, że ta sama niemoc, ta sama niewiara we własne siły doniedawna znamionowała obozy demokracji robotniczej i w innych krajach, którym wypadło czoło stawić faszyzmowi: uległy one w walce, nie wyczerpawszy ani ułamka tych sił, które miały do rozporządzenia dla boju z przeciwnikiem.

Nigdzie ta niemoc demokracji nie wyraziła się w serii złudzeń tak naiwnych a tak złowrogich, jak we Włoszech. W roku 1922 wierzono tam, że faszyzm zlikwidowany będzie przez sztab generalny. W roku następnym, gdy już Mussolini zasiadł w siodle władzy, cudu obrony oczekiwano od katolickiej partii ludowej (t. zw. „popolari" z ks. don Sturza na czele). W roku 1924 pokładano nadzieje w królu, a w 1925 wiele obiecywano sobie po chorobie Mussoliniego. Duce podówczas cierpiał na wrzód w odbytnicy: od wyników tego wrzodu wielu Włochów oczekiwało oswobodzenia swego kraju. Oczekiwanie to trwało w ciągu sześciu miesięcy, poczym wrzód został usunięty. Zawiedzione nadzieje skupiały się następnie kolejno na wpływach masonerii, na skukach polityki deflacyjnej, od roku zaś 1928 ześrodkowano je ostatecznie na wybuchu wojny. Ale cóż? Przyszedł jesienią r. 1935 konflikt zbrojny z Abisynią; wojna trwała pół roku i, miast ruiną faszyzmu, skończyła się jego triumfem.

Błędy, popełnione przez antyfaszystów włoskich były tak uderzające, że nawet ślepcom powinny były oczy otworzyć. A jednak domokracja niemiecka nie wysnuła z nich żadnej dla siebie przestrogi, odtwarzając i powtarzając iluzje, którym poddano się we Włoszech. W początkach roku 1933 liczono w walce z Hitlerem na Reichswehrę oraz na partję „narodowo-niemiecką"; latem tegoż roku budowano nadzieje na międzynarodowym bojkocie Trzeciej Rzeszy; jesienią przeniesiono je na Ligę Narodów. Minęły trzy lata, i dziś widzimy, kędy wszystkie te nadzieje utknęły. A przecież i dziś jeszcze snuć złudzeń nie przestano. W chwili obecnej opozycja niemiecka szuka schronienia dla swych nadziei w... kościele katolickim. Na północy, jak widzimy, rozgrywa się wszystko tak samo, jak na południu: z tą chyba różnicą, że w Niemczech idzie wszystko o wiele szybciej, niż we Włoszech.

Rzecz jasna, że bezsilna i nie wierząca w siły własne opozycja niemiecka zawiedzie się w swych rachunkach na obcą pomoc tak samo, jak jej włoscy towarzysze niedoli. Zwłaszcza w rachubach swych na pomoc kościoła katolickiego. Złudzenia tego rodzaju trzeba prześwietlać i rozpraszać tym bezwzględniej, że mają one wielką skłonność do zatruwania umysłów wszędzie, gdziekolwiek wzbiera przypływ faszyzmu. Czyż i u nas w Polsce raz po raz nie zjawiają się pokusy, aby w księdzu katolickim upatrywać orędownika wolności? Pokusy takie i urojenia tępić należy, choćby zagłada ich miała ból zadać niejednemu czułemu sercu. Straszliwa jest tyrania faszyzmu. Straszliwe jest to sponiewieranie człowieka, na którym rządy swe opiera dyktatura, niemniej zaiste okrutna w swej praktyce codziennej od moskiewskiej t. zw. dyktatury proletariatu.

Sprzeczności w obozie przeciwnika, rzecz zrozumiała, nie powinny być lekceważone i muszą być brane pod uwagę. Skoro między faszyzmem a papiestwem, między faszyzmem a sferami wojskowemi, dochodzi do zatargów, to zatargi takie jak najpilniej śledzić należy. Gdy dyktator zachoruje obłożnie, to i taka okoliczność nie bywa bez znaczenia. Ale co odtrącić trzeba raz na zawsze, to — wiarę, że ktoś inny będzie wolności naszej bronił, lub walczył o nią. A przytym, jeśli mamy niezgody wewnętrzne w obozie przeciwnika wyzyskiwać, to musimy starać się o surową w ich ocenie przedmiotowość. Musimy trzeźwo przenikać ich naturę, dokładnie zdawać sobie sprawę z ich znaczenia, nie poddając się iluzjom, podsycanym przez naszą własną bezsilność.

W świetle takiej trzeźwej, surowej oceny, ileż — spytajmy — warte są oczekiwania i nadzieje, przez pewne koła demokracji i socjalizmu pokładane w kościele katolickim w jego teraźniejszym zatargu naprzód z faszyzmem hitlerowskim, a potym i z faszyzmem międzynarodowym w ogóle? Naszym zdaniem, nie mogą one przynieść nic innego, tylko rozczarowanie i zawód.

Nadzieje te odwołują się, jak wiadomo, do głębokich, niemal przepaścistych różnic, które katolicyzm dzielą od „narodowego socjalizmu". Opierają się o stosy ksiąg, broszur i czasopism, będących świadectwem i pobojowiskiem niemilknącej polemiki, jaka toczy się między doktryną kościoła rzymskiego a doktryną hitleryzmu. Gdyby stosunki bytu społecznego wyznaczone były przez idee, to przeciwieństwo między kościołem katolickim a hitleryzmem byłoby nieprzejednane. Gdyby stosunki społeczne regulowane były przez idee, to nieprzejednane byłoby również przeciwieństwo między katolicyzmem a faszyzmem włoskim. A tymczasem wiadomo powszechnie, że między dawnymi przeciwnikami zakwitła ugoda i przyjaźń; że kościół katolicki stał się we Włoszech jedną z najpotężniejszych kolumn, wspierających dyktaturę Mussoliniego. Byłożby to możliwe, gdyby idee górowały nad interesami? Żadne chyba z doświadczeń dziejowych nie wykazuje lepiej niż przebieg sporu Mussoliniego z Piusem XI, że ideologje i doktryny grają w życiu jedynie wtórną rolę.

Gdy niedawno jednego z przyjaciół przestrzegałem, aby nie ufał kościołowi, jako szańcowi wolności, ten zaś wskazywał mi na półki księgarskie, uginające się od ksiąg i broszur hitlerowskich, skierowanych przeciw Watykanowi, a także od ksiąg i broszur katolickich, wymierzonych w hitleryzm, zmuszony byłem odeprzeć, że cała ta wojna papierowa toczy się o cele, być może, namacalne lecz bardzo ograniczone. Ktoby chciał pisać historję ostatnich stu lat katolicyzmu politycznego, ten natknąłby się w bibliotekach na całe tonny dzieł katolickich zwalczających liberalizm i parlamentaryzm mieszczański. Ale czyż dzieła te przeszkodziły katolikom tworzyć z czasem partje polityczne, stawać do wyborów parlamentarnych i brać udział w rządach liberalnych? Nie. A przecież, gdyby stosunki polityczne były wyznaczane przez idee, katolicy nigdy nie weszliby do instytucji, którą potępili, jako dzieło szatana.

Gdy więc rozpatrujemy teraźniejszy zatarg kościoła katolickiego z rządami Trzeciej Rzeszy, wychodzić należy ze stanowiska, że zatarg ten, jakkolwiek przybierać może ostre formy ideologiczne, nie jest tylko sporem ideowym i — prawdopodobnie — nigdy takim nie był. Chodzi tu raczej o złożony zatarg dziejowy, którego korzenie tkwią głęboko w najzupełniej określonych interesach materjalnych. Pod względem politycznym wyraża się w dwóch różnych sposobach pojmowania organizacji społeczeństwa niemieckiego. Kto pragnie odpowiedzieć na pytanie, w jakim potoczy się kierunku prawdopodobny rozwój zatargu między „socjalizmem narodowym" a katolicyzmem, ten musi odrzucić całą, z dnia na dzień narastającą, literaturę polemiczną, następnie w niepamięć puścić wszystko, co się z literatury tej czytało przypadkiem, i zbadać: na jakiej bazie społecznej wspiera się w chwili obecnej hitleryzm? Na jakiej warstwie społecznej buduje w Niemczech swoje wpływy kościół katolicki? I w jakim kierunku zmierza rozwój stosunków między tymi dwiema grupami społecznymi?

Wynik badań tych ujawniłby nam zapewne wiele rzeczy, równie doniosłych jak niespodziewanych. Jedno wszakże już dziś nie ulega wątpliwości: zatarg kościoła katolickiego z hitleryzmem jest walką raczej konkurencyjną, niż zasadniczą. Jest walką, która wcześniej albo później skończy się rozejmem, a może ugodą i sojuszem, zawartym w obliczu wspólnego wroga. Czyż trzeba dodawać, że tym wspólnym wrogiem, który w rozstrzygającej chwili Watykan pojedna z Berlinem, jest obóz demokracji i wolności?

Andrzej Grot.

Z DNIA NA DZIEŃ

PROFESOR WOJCIECH ŚWIĘTOSŁAWSKI O USTAWIE AKADEMICKIEJ

W Warszawie odbył się zjazd 53 profesorów, usuniętych z wyższych uczelni rozporządzeniem b. ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego, p. Janusza Jędrzejewicza. Prawo likwidowania katedr dała p. Jędrzejewiczowi ustawa o szkołach akademickich z dn. 15 marca 1933 roku (art. 3-ci).

Przed wprowadzeniem w życie ustawy toczyła się na jej temat gorąca dyskusja w świecie akademickim. Dnia 15-go listopada 1932 roku profesor Politechniki Warszawskiej, dr. Wojciech Świętosławski, obecny minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego, odczytał na Ogólnym Posiedzeniu profesorów Politechniki swój memorjał o projekcie powyższej ustawy. Z upoważnienia autora memorjał ten ogłoszony był w całości w *Epoce* (nr. 9 z dn. 27 listopada 1932 r.). Oto ciekawsze wyjątki z memorjału prof. Wojciecha Świętosławskiego, obecnego ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego:

„Projekt nowej ustawy o szkołach akademickich oparty został na powziętej z góry teorii, że ciało zbiorowe nie jest zdolne do płodnej i pożytecznej akcji i dla tego należy dać pełnię władzy osobie stojącej na czele Ministerstwa Oświaty.

„Przyjęty punkt widzenia sprawił, że niepodobna znaleźć w ustawie paragrafu, którego wykonanie nie mogłoby być sparaliżowane przez odpowiednie rozporządzenie Ministra Oświecenia. W tym znaczeniu Ustawę poza kilku paragrafami, ustalającymi funkcje Rektora, Dziekana, profesorów i innych, należących do ciała pedagogicznego, możnaby było za-

stąpić krótko ujętym paragrafem, stwierdzającym, że Minister zostaje upoważniony do wydawania wszelkich zarządzeń, regulujących życie Szkół Akademickich.

„Niepodobna nie upatrywać wielkiego niebezpieczeństwa płynącego z takiego sposobu ujmowania rzeczy. Każda ustawa państwowa, a więc i ustawa o szkołach akademickich powinna być zredagowana tak, aby mogła przetrwać bez zmian przez długie lata. W tym okresie czasu mogą niejednokrotnie zmienić się gruntownie warunki polityczne, a za tym i rządy, kierujące nawą państwową. Otóż Ustawa, dając nieograniczone wprost uprawnienia Ministrowi, stwarza wielkie niebezpieczeństwo stałej ingerencji władz w to życie, którego spokojny, apolityczny rozwój jest koniecznym warunkiem należytego funkcjonowania całego aparatu nauczającego.

„Trzeba podkreślić z całą mocą, że od stanowiska zajętego przez każdorazowego Ministra Oświecenia zależeć będzie bieg i sprawność pracy Uczelni Akademickich. Może też się zdarzyć, że przez długie lata od czasu wejścia tej ustawy, życie akademickie w niczym naruszone nie będzie dzięki rozumnemu i umiarkowanemu wyzyskiwaniu, a raczej niewyzyskiwaniu przez Ministra uprawnień. Może się jednak zdarzyć, że osoba Ministra, jago temperament polityczny, przypadkowe nawet zatargi z tym lub innym ośrodkiem, mogą się stać powodem tak gwałtownego zakłócenia biegu życia akademickiego, że wynikłe stąd straty zniwelują to, co uzyskane zostanie dzięki umiarowi i taktowi Ministrów poprzednich".

Otóż właśnie zdarzył się ten ostatni wypadek: b. minister Jędrzejewicz miał „temperament polityczny" i zmiótł 53 katedry...

O projekcie nowelizacji ustawy, tak mocno w swoim czasie skrytykowanej przez obecnego ministra wyznań i oświecenia, nic nie słychać...

WSKAZÓWKI DLA SADYSTÓW

Rada Miejska w Fordonie powzięła jednomyślną uchwałę, domagającą się wprowadzenia w szkole powszechnej kary chłosty. Bardzo możliwe, że ta jednomyślna (przyjemne bractwo!) uchwała zapadła pod wpływem książki p. Jana Sobolewa, wydanej w Poznaniu przez księgarnię św. Wojciecha z sankcją cenzury kościelnej: Nihil obstat. Romualdos, Archiepiscopus Vilnensis.

Tytuł książki: „Karanie wychowawcze jako oddziaływanie na duszę w okresie chłopięcym". Podtytuł: „O istocie, potrzebie i stosowaniu kary cielesnej".

P. Sobolew daje wskazówki, jak bić i kiedy: najlepiej „wieczorem, przed pacierzem", sama zaś egzekucja winna być poprzedzona przez przyjacielską serdeczną rozmowę, według wzorów w książce tej podanych.

Bliższe wskazówki:

„Ażeby rózga dość bólu chłopakowi sprawiła, nie kalecząc mu przy tym ciała, musi być giętka i zadzierzysta (gładka). O ile zachodzi trudność w każdorazowym sporządzeniu rózgi dopiero w razie potrzeby ukarania chłopca chłostą, zastąpić rózgę może cienka, giętka trzcina lub też dyscyplina". Lepiej, żeby bił ojciec, bo matka „ma za słabą rękę". Podczas egzekucji dobrze jest cytować Pismo św. „modulując głos". Najlepiej też chłostę stosować nie od razu po przewinieniu, ale po pewnym czasie, po „lęku oczekiwania" na chłostę.

W taki sposób mają być bite dzieci, by kara docierała „do wszystkich fibrów".

Oto wskazówki sadystyczne p. Sobolewa, które na pewno spodobałyby się członkom Rady Miejskiej w Fordonie.

„PROGRAM"

W walce o wyrwanie monopolu antysemityzmu z rąk endecji gorliwy udział bierze również Legion Młodych. W jednej z uchwał zjazdu Legionu Młodych zapowiedziano „bezwzględną walkę z Żydami, dopóki choć jeden Żyd przebywać będzie w granicach Polski". Tak sformułowany „program" świadczy już nie tylko o nieodpowiedzialności politycznej tej grupy młodzieży, ale i poprostu o jej żałosnym poziomie umysłowym.

CZARNE PTACTWO

Zazwyczaj w słotne dnie jesienne kruki i wrony gęsto obsiadają świeżo zoraną rolę. Spłoszone podrywają się czarną chmurą i krążąc wysoko, kraczą przeraźliwie. Tak samo i teraz nad *Epoką*, która niedawno odwróciła skibę literacką Adama Doboszyńskiego, załopotały wszystkie czarne pisma i rozlega się nieustanne, zajadłe krakanie.

Kraczcie sobie dowoli, panowie, ale przecież wiecie, że *Epoka*, prześwietlając „Słowo ciężarne" bynajmniej nie toczyła walki *z więźniem* Adamem Doboszyńskim, który sam siebie dostatecznie już pogrążył w Myślenicach, tylko zamierzała zahamować i przytłumić zgiełk i wrzawę reakcji, usiłującej roztoczyć aureolę nad głową sprawcy napadu i pasować go na rycerza wysokiej narodowej zasługi. O tym pisaliśmy wyraźnie we wstępie, poprzedzającym wyjątki ze „Słowa ciężarnego". Nie wszczynaliśmy również sporu religijnego, ani nie gatunkowaliśmy katolicyzmu Adama Doboszyńskiego. Żaden człowiek światły niczyich potrzeb wewnętrznych, duchowych nie stawia pod pręgierz. Ludzie wolni domagają się tylko i bronią zasady wolności sumienia, która dozwala zarówno wierzyć, jak i nie wierzyć. Wszechwyznaniowy kler tej zasady jedynie rozumnej i sprawiedliwej uznać ani uszanować nie chce, przeciwnie, marzy mu się już nie tylko rząd dusz w wyzwolonej ojczyźnie, ale i władztwo polityczne, sam więc narzuca żywiołom wolności walkę z klerykalizmem.

CO SIĘ OBIECUJE LUDOWI?

Gen. Franco, proklamowany przez rebelię hiszpańską, jako wódz naczelny, w którego ręku ma się skupić „cała władza", wygłosił przez radio przemówienie o przyszłych reformach społeczno-politycznych w Hiszpanii. A więc: praca będzie cieszyła się ochroną ze strony państwa, które będzie tępiło nadużycia kapitału; robotnicy otrzymają godziwą zapłatę i będą mieli udział w zyskach przedsiębiorstw; Hiszpania będzie „państwem sprawiedliwości społecznej"...

Znamy takie zapowiedzi. Historia to nie nowa i wciąż się powtarza.

W czasie faszystowskiego „marszu na Rzym" Mussolini ogłosił również swój program społeczno-polityczny. Warto dziś przypomnieć ową deklarację. Zawierała 14 następujących punktów:

1. Konstytuanta narodowa, jako sekcja italska konstytuanty międzynarodowej ludów, która ma doprowadzić do radykalnej zmiany podstaw politycznych i ekonomicznych życia zbiorowego.

2. Proklamacja Republiki Italskiej. Decentralizacja władzy wykonawczej: administracja autonomiczna dzielnic i gmin przez własne ciała ustawodawcze. Suwerenność ludu, wykonywana drogą głosowania powszechnego, równego i bezpośredniego przez wszystkich obywateli płci obojga, przy czym lud zachowuje swoje prawo inicjatywy przez referendum i veto.

3. Zniesienie Senatu. Usunięcie policji politycznej. Wybór sędziów niezależnie od władzy wykonawczej.

4. Zniesienie wszystkich tytułów szlacheckich i orderów.

5. Wolność opinii i nauki, religii, zrzeszania się i prasy.

6. Oświata dostępna dla wszystkich.

7. Maximum środków higieny publicznej.

8. Zniesienie towarzystw akcyjnych, spekulacji w jakiejkolwiek formie, banków i giełd.

9. Inwentaryzacja i oszacowanie majątków prywatnych. Konfiskata dochodów nieproduktywnych.

10. Zniesienie obowiązkowej służby wojskowej.

11. Zakaz pracy dzieci poniżej lat 16-tu. Ośmiogodzinny dzień pracy.

12. Reorganizacja produkcji wedle zasady kooperatyw i bezpośredniego udziału robotników w zyskach.

13. Zniesienie tajnej dyplomacji.

14. Polityka międzynarodowa oparta na solidarności ludów i ich niepodległości w Konfederacji Państw.

Tylko tyle... Wiadomo, jaka przepaść dzieli rzeczywistość dzisiejszą w Italii od tych szumnych zapowiedzi. Ktoby, na przykład, żądał dziś w Italii zniesienia tytułów i orderów, obraziłby samego Il Duce. Hasło, wyrażone w punkcie 2-gim, prowadzi do więzienia. Zasada, wysunięta w punkcie 5-tym brzmi dziś, jak ironia i t. d. Lecz takie były atrakcje faszystowskie przed objęciem władzy przez Mussoliniego.

To samo — przed zwycięstwem Hitlera. Program Hitlera z roku 1920-go zapowiadał... uspołecznienie środków produkcji, upaństwowienie banków, likwidację giełd, udział robotników w zyskach i t. p.

Teraz znów gen. Franco „zapowiada"...

Już Platon pisał o demagogach, których polityka jest „sztuką mamienia ludu". Bez uciekania się do tej sztuki nikt jeszcze rządów dyktatorskich nie wprowadził.

JAK TO POGODZIĆ?

Z powodu posługiwania się Maurami i Kabylami przez rebelię hiszpańską pisze *Czas:*

„Wojska marokańskie, złożone z tuziemców, to zwykli żołdacy, gotowi walczyć wszędzie, dokąd ich wyśle rozkaz dowództwa. Wyprawę do Hiszpanii przyjęli z wielkim zadowoleniem, gdyż w ten sposób otrzymali sposobność do walki z białymi i to w dodatku ze swoimi historycznymi wrogami. Wszakże, ci marokańczycy, to potomkowie Maurów, którzy przez kilka wieków panowali nad Hiszpanami".

Jak więc godzi *Czas* sprowadzenie wojsk marokańskich z pochwałą patriotyzmu rebeliantów?

CHŁOP W JARZMIE MITOLOGII

Żyjemy w dobie powszechnego zainteresowania się dolą chłopów. Wszyscy gadają o jego potrzebach i dążeniach. Gdy gdzieś tam, w głuszy wiejskiej, wybuchnie konflikt, dojdzie do krwi przelewu, padną trupy w Krzeszowicach lub Żukowie, wszyscy się na krew tę powołują, wynoszą ją na targowisko polityczne, czynią z niej argument w krzyżowym ogniu pytań, zarzutów i oskarżeń. Ale czy tym, którzy najgłośniej krzyczą, chodzi naprawdę o byt i świadomość chłopa? Czy w sporach swoich i targach politycznych nie obcują oni raczej z pewnym o chłopie sztucznym wyobrażeniem, które wytworzono z dawien-dawna na użytek warstw uprzywilejowanych a od wieków na pracy chłopa żerujących, jako na podścielisku, z którego wyrasta cały niemal gmach dotychczasowej cywilizacji?

Gdy mowa jest o chłopie, to tyrania tradycji narzuca nam odrazu dwie cechy, które rzekomo stanowić mają rdzeń jego natury: religijność, posuniętą aż do ascezy i przywiązanie do roli, przechodzące w fetyszyzm. Obie te cechy uchodzą za nieodłączną potrzebę chłopa, wyrastającą z samego dna jego świadomości. Spróbujcie im zaprzeczyć, a każdy nazwie was fantastą albo ślepcem. Najskrajniejszy lewicowiec, najradykalniejszy inteligent - bezbożnik będzie uparcie dowodził, że chłop nigdy się wiary fanatycznej nie wyrzeknie. I w dowodzeniach swych niekoniecznie odwoływać się będzie do malowniczych wrażeń, wyniesionych z oglądania procesji Bożego Ciała w Łowiczu. Wystarczą mu plakaty, wiszące na murach jakiejś stacji kolejowej a reklamujące Polskę z jej rozmodlonym ludem o twarzach tak poczciwych, że aż beznadziejnie głupich. Pohopność do wiary w uległość chłopów dla Kościoła jest tak nieprzeparta, że, gdyby ktoś, wpadłszy na pobożny pomysł, wymalował na plakacie „kmiotków", leżących pokotem u nóg wiejskiego proboszcza, to i ten niedorzeczny plakat uznanoby za odbicie prawdy i zgodzonoby się, że tak właśnie, pokotem baranim, leżą u stóp kleru chłopi całej Polski.

To uparte przeświadczenie o baraniej ludu wiejskiego pokorze wobec kleru i jego nauki możnaby zrozumieć, gdyby dziś jeszcze odpowiadało ono potrzebie Polski, potrzebie nowoczesnej warstwy inteligenckiej. Ale przecież wiemy, że tak nie jest. Inteligencja postępowa nie ma żadnego interesu w tym, aby chłopów oddawać w arendę kleru, a chłopi też, jeśli chodzi o ich ruch samorzutny, pod tę opiekę nie śpieszą.

Przytoczymy parę przykładów.

Już w ósmym lat dziesiątku ubiegłego stulecia, a więc rychło po zniesieniu pańszczyzny, gdy tylko wieś przestała lękać się batoga, strzegącego „praw bożych" narówni z prawami pańskiego dworu, znaleźli się chłopi, którzy zerwali z klerem. Naprózno jednak śladów tego „umysłowego powstania" szukalibyśmy w prasie lub literaturze. Kroniki chłopskie, jak wiadomo, pisane są tylko w pamięci współcześników i wraz z nimi schodzą do grobu. To też zaledwie cztery lub pięć osób, pozostałych dotąd przy życiu, we wsi Kaleń, gm. Lubania, pow. Rawa - Mazowiecka, opowiedzieć mogą o Pawle Dyjasińskim, Michale Domarackim i braciach Nagibałach, z których jeden, Jan, w obliczu śmierci, wzniósł się do stoicyzmu myśli świeckiej, godnego Seneki lub Spinozy.

W owych czasach, okutych w Polsce jeszcze kajdanami pół-feudalizmu, nie ladajakiej trzeba było odwagi, aby jawnie zerwać z klerem. Na bunt otwarty stać było tylko najmężniejszych. Wielu chłopów o nieprzeciętnym umyśle lecz o zwykłej mierze charakteru kryło się prawdopodobnie ze swymi przekonaniami, udając pobożność i naśladując uległość. Wypadki takie jakże często i dziś jeszcze można spotkać po wsiach.

Tak wygląda rzeczywistość. Ale kto ją opisuje? Kto ją bada? Inteligencja polska? Literatura polska? Publicystyka Polska?

Inteligencja nasza — jeśli chodzi o jej sztandarowe poczty — sama będąc wyzwolona z dogmatyzmu religijnego, boi się „chłopa - niedowiarka", jak niebezpieczeństwa społecznego. Wedle banalnego zdania, które na każdym daje się słyszeć kroku, chłop bez religii jest człowiekiem bez wędzidła moralnego, a więc niemal materjałem na bandytę. Takich inteligentów bezwyznaniowych, którzy jednak chętnie na szyi chłopa zaciskają obrożę klerykalizmu, chcielibyśmy ostrzec przed wyjazdem do Puszczy Mariańskiej: w parafii Jeruzal, położonej w sąsiedztwie tej Puszczy było do niedawna około 100 dzieci nieochrzczonych w wieku do lat dwunastu; nieochrzczonych z woli rodziców - chłopów, którzy domagali się świeckich ksiąg stanu cywilnego. Aby przełamać opór wsi, trzeba było podstępu administracji, która zagroziła chłopom, że brak metryki chrztu pociągnie

za sobą dużą grzywnę pieniężną. Wielu się ulękło, ale byli też tacy, którzy nawet pod groźbą kary, nie ustąpili.

Oto są przykłady, które dadzą się sprawdzić bez trudu: aby się przekonać o ich wymowie wystarcza poświęcić kilka godzin czasu i kilka złotych na autobus. Co do mnie, to osobiście stwierdziłem istnienie chłopów, którzy wewnętrznie zerwali z klerem, w 1500 wsiach, co najmniej. Niebrak ich w takich nawet miejscowościach, które powierzchownie słyną, jako gniazdo klerykalizmu i religjanctwa. Niebrak wolmyślicielstwa wśród chłopów w okolicach takich, jak Busko, Ojców, Solec, Druskieniki. Nie wątpię, że fala wolnej myśli oblewa uroczysty grobowiec Kasprowicza, piewcy „Księgi Ubogich". Utwierdza mnie w przekonaniu tym Władysław Orkan, który nie wierzył w pobożność górali („Listy ze wsi", tom II, str. 91 i nast.).

Pozwólmy sobie na odrobinę humoru i uspokójmy zatrwożonych a poczciwych kuracjuszów, gotowych w roku przyszłym wyrzec się wyjazdu do uzdrowisk, zagrożonych „niedowiarstwem" chłopów. Niechaj pozbędą się trwogi i jadą śmiele tam, dokąd jeździli przez lat tyle; niech jadą tym śmielej, że „zaraza bezbożnictwa" trwa w miejscowościach tych od lat co najmniej dziesięciu, a mimo to nie słyszeliśmy, aby wyładowywała się w jakichś niezwykłych okropnościach.

Jeśli wierzyć tym moim spostrzeżeniom co do narastania antyklerykalizmu wśród chłopów, a twierdzę dodatkowo, że w Polsce obecnej rzadko już spotka się wieś, nad którąby ksiądz proboszcz sprawował rządy niepodzielne, nasuwa się pytanie: czemu tę rzeczywistość ukrywa się pod korcem? Czemu się tej prawdzie chłopskiej przeczy w żywe oczy? Czyżby ze strachu przed nią? Szukając na to pytanie odpowiedzi, stwierdzić można, że w pewnych kołach inteligencji, strach ów istotnie jest czynnikiem decydującym.

Wszelako strach, zwłaszcza strach, każący oczy zamykać na rzeczywistość, nigdy nie bywa cennym pierwiastkiem decyzji. A przede wszystkiem nie może on stać się siłą, któraby rozwój rzeczy powstrzymała. Na przekór małodusznym i strachliwym diagnozom, wolnomyślicielstwo w masach chłopskich rośnie. Rośnie z roku na rok samodzielna myśl chłopska, na samodzielnym oparta doświadczeniu. Kler katolicki, mający swój własny, niezawodny wywiad, nie gorszy od policyjnego, wie co o tym ruchu chłopskim sądzić. Wie, że ruchu tego nie pokona. Ale pragnie go zasłonić, zakryć, zamaskować. I z tej gwałtownej potrzeby zasłon, maskujących istotną rzeczywistość, rodzą się te ustawiczne ostencje i minafestacje, zjazdy i kongresy katolickie.

Ale wystarczy podjechać koleją pod słynny Niepokalanów, zajść do wsi Strumiany Górne i Dolne, do Wiejcy lub innej wsi okolicznych, a potęga mitu kościelnego wśród chłopów przedstawi się nam zgoła inaczej. Jeszcze przed sześcioma laty proboszczowie pobliskich parafij powiatów sochaczewskiego i błońskiego całą odpowiedzialność za emancypacyjny ruch umysłowy wśród chłopów składali na Wojciecha Konarskiego, 70-letniego gospodarza ze Strumian. Istotnie, Wojciech Konarski, jeden z pierwszych szermierzy „Zarania", zasłużony działacz niepodległościowy, był wybitnym i nieprzejednanym wolnomyślicielem. Przeczuwając nadchodzący kres swego życia, zwrócił się do piszącego słowa niniejsze, prosząc o radę, na jaki cel przekazać resztę ziemi, 17 mórg, gdyż dzieciom swym, jak mówił, nie chciał dać więcej ponad to, co im już wcześniej zapisał, aby się nie poczuły zbyt zamożne i „nie poniechały walki z panami i księżami". Konarski, jak się dowiedziałem, zgodnie z przeczuciem, które go nawiedziło, zmarł nazajutrz po złożonej mi wizycie wskutek anewryzmu serca. Ale ze śmiercią tego chłopa myśl wyzwolona w okolicy jego nie wygasła. Owszem krzewi się i rozrasta coraz szerzej.

Oto fakty, które dowodzą, że przywiązanie do kleru nie jest wśród chłopów elementem wyssanym z łona ziemi.

Tak samo pusta, czcza i fałszywa jest rozpowszechniona opinia o żywiołowym przywiązniu chłopa do roli. W rzeczywistości ani rola przywiązała go do siebie, ani on przywiązał się do roli. Wbrew pospolitemu mniemaniu, chłop nie jest bynajmniej kretem, od natury przeznaczonym do grzebania się w ziemi. Jeśli grzebie się w niej przez całe życie, to nie dlatego, że chce, ale dlatego, że musi.

Balzac, który patrzał na chłopów oczami krytycznego i bystrego obserwatora, nie dostrzegł u chłopa żadnego fetyszyzmu w stosunku do ziemi. Chłopi Balzaca walczą przeciw dworom, pospołu z mieszczanami walczą o nowy ustrój demokratyczny. Wszelako wprędce po zdobyciu ziemi, gdy nędzne chaty bezradnie rozsiadły się po polach, gospodarze ich, na pytanie dziennikarza, czemu są niezadowoleni, skoro przecież „pozyskali wolność", odpowiadają: „Nie możemy ruszyć się ze wsi, nie mamy za co ruszyć się z miejsca, bo już dawno żaden z nas nie miał dwufrankówki w kieszeni" (Balzac: „Chłopi" — cytuję z pamięci).

Nie będę tu podnosił innych skarg chłopa balzakowskiego, skarg, któreby nam ujawniły istotę jego poglądu na świat, na ów świat nowy, świat rzekomo wolny dla chłopa, na rolę społeczną, jaką w tym nowym świecie wyznaczono chłopu. Ale właśnie w związku z typem chłopa, tak wiernie i śmiało uchwyconym przez genialnego pisarza Francji, należy podkreślić z naciskiem, że ten typ balzakowski był bardzo niewygodny dla burżuazji wszystkich krajów europejskich; niewygodny był ten okaz chłopa — malkontenta, ściganego biedą i dręczonego niedolą: dlatego też wszędzie został poniechany i zapomniany. Wynaleziono innego chłopa, który był dogodniejszy dla sfer ziemiańsko-kapitalistycznych. Wynaleziono chłopa szczęśliwego. Że jednak trudnoby było uwierzyć w szczęście nędzy kurno - chałupnianej, więc, aby to szczęście uprawdopodobnić, wyzłocono nędzę chłopską nimbem mistycznym ,dano jej podkładkę „przywiązania do wiary ojców" i „przywiązania do ziemi". *Spętano chłopa mitologią.*

Nowy ustrój burżuazyjny, zerwawszy stare pęta feudalizmu szlacheckiego, niósł wolność, zapowiadał dobrobyt i szczęście wszystkim. Cóż, kiedy dla chłopa dobrobytu nie starczyło! Wypadło mu tedy zaofiarować choćby „szczęście", szczęście bez dobrobytu; szczęście, poprzestające na niedostatku, szczęście rozmiłowane w swej doli „ascetycznej". Nie starczyło dobrobytu dla chłopa, więc stworzono majak dobrobytu, majak szczęścia, i majakiem tym postanowiono nietylko ukoić wieś, ale i zakleić oczy tego odłamu inteligencji, który w sumieniu swym na nędzę i wydziedziczenie mas się nie godził. Postanowiono

olbrzymią rzeszę chłopską poprostu zepchnąć z przed oczu sumienia społecznego.

Sfery panujące i uprzywilejowane — ziemiaństwo, przemysł, banki i wyższa biurokracja państwowa — aby zapewnić sobie prosperowanie na bezradności i zastoju chłopa, poszły na kolosalny, imponujący fortel: zasklepiły wieś chłopską w złudnym nimbie szczęścia, jak muchę w bursztynie. I trudno nie przyznać, że fortel się udał.

Pozwolę sobie na mały przykład ze swoich własnych wspomnień osobistych.

Mając lat dziesięć, jako syn ubogiego chłopa, po raz pierwszy wyszedłem na zarobek do dworu. Wynajęto nas do suszenia torfu na łące. Do pracy stanęło około czterdziestu chłopców i dziewcząt: wszyscy — dzieci piętnasto lub dwudziestomorgowych gospodarzy. Dwór płacił nam podówczas 6 groszy od przestawienia tysiąca osełek torfu. Wśród zatrudnionych przy tej ciężkiej a rujnującej zdrowie pracy nie było, oczywiście, ani jednego głupca, któryby dzienny zarobek, nie przekraczający nigdy 15 kopiejek, uważał za szczęście i w szczęściu tym odnajdywał zadośćuczynienie za katorżniczą mordęgę. Wszyscy solidarnie klęli „dziedzica" za nieludzki wyzysk, a karbowego — to namacalne ucieleśnienie „przywiązania chłopa do pracy na roli" — klęli podwójnie za to, że nas pilnował. To też, gdy tylko się dało, topiliśmy w dołach z wodą wszystkie pokruszone osełki, które trudniej było złożyć, albo pakowaliśmy je do środka stożków, gdzie oczywiście porastały darniną i ginęły. Podobnież, przy kopaniu kartofli, połowę plonu zostawialiśmy w ziemi, bo przecież zarobek obliczano od morgi, którą nadomiar rządca, aby przysłużyć się „dziedzicowi", zawsze o kilka prętów przedłużał. Jakaż więc mogła tu być „zgoda" między chłopem a dworem? I jakie „szczęście" dla chłopa w tej zgodzie?

A przecież, odkąd Zygmunt Krasiński wyrzekł swoje słynne „z szlachtą polską polski lud", zawołanie to szło przez pokolenia nietylko, jako postulat obszarnika, ale prawie jako ideał narodu. Lecz pocóż sięgać po złote słowa do ordynata Opinogóry? Fryderyk Engels a po nim Karol Kautsky w swej „Kwestji Rolnej" głosił, że chłopi po otrzymaniu ziemi pogodzili się ze swoimi wrogami. Gromada chłopców i dziewcząt, przekładających przed laty 30-tu torf na łące dziedzica polskiego, oczywiście, nie czytała psalmów Krasińskiego i nie wiedziała nawet o istnieniu Kautskiego. Nie słyszeli też o nich nic i rodzice tej wyzyskiwanej dziatwy wiejskiej. Mur, odgradzający wieś chłopską od reszty świata, był już wzniesiony i obwarowany.

Władysław Kowalski.

ODGŁOSY

SCHOWAJCIE TO ŚWIATŁO POD KORZEC

Wyszedł setny, poniekąd jubileuszowy numer dwutygodnika *Zet*, redagowanego przez Jerzego Brauna. Zdawałoby się, że pismo, które za cel swego istnienia obrało sobie uprzystępnienie myślącemu ogółowi filozofii Hoene-Wrońskiego i posłannictwo idei mesjanistycznych, unikać będzie przyziemnych rozgrywek stronniczych i politycznych, nie mających nic wspólnego ani z wzniosłą i dobrotliwą kontemplacją mistyczną ani z modlitewnemi westchnieniami do absolutu.

Aliści okazuje się, że gdy chodzi o wzmocnienie i wsparcie społecznej reakcji, nawet natchnieni magowie mistycyzmu z *Zetu* porzucają woje wyniosłe stanowiska, sięgające zaświatów, i schodzą na padół tutejszy, aby pospołu i zgodnie z realistami reakcji prowadzić zażartą krucjatę przeciwko żywiołom demokracji. Oto w tym setnym numerze p. Jerzy Braun zbiera skrzętnie plon pełnego napaści listu, pióra p. Madeja, nawróconego grzesznika, spełniającego teraz oblucje po wystąpieniu swojem ze Związku Nauczycielstwa Polskiego. Wystarczy przytoczyć jedynie tytuły pism, które skwapliwie przyłączyły się do tej napaści, a które p. Braun cytuje, ażeby się przekonać, komu naprawdę ci mesjaniści służą. A więc: „Ilustrowany Kurjer Codzienny", „Myśl Polska", „Dziennik Bydgoski", „Goniec Warszawski", „Goniec Nadwiślański", „Warszawski Dziennik Narodowy", „Mały Dziennik Niepokalanów" i t. p.

Widocznie w nagrodę za zbożną pracę, autor listu otwartego, w sposób mistyczny podpatrujący cudze zarobki w Związku Nauczycielstwa Polskiego, urósł nagle w *Zecie* do roli mesjanisty w pedagogice i ogłasza w tym samym setnym numerze epistołę p. t. „O istotę wychowania". Jeżeli ten opatrznościowy zbawca wychowania, będąc jeszcze urzędnikiem Zw. Naucz. Polskiego, już pozostawał pod urokiem filozofii Hoene-Wrońskiego, a raczej pod wpływem jego fanatycznych wyznawców z *Zetu*, to nic dziwnego, że musiał on czynnych działaczy związkowych, którzy chcą w tempie iście zawrotnem pracować dla szkolnictwa, uznać za wysłanników antychrysta i musiał też ze związku wystąpić. Dobrze iż to się stało w samą porę i że w porę otrzasnął się on z wpływów satanistycznych, bo gdyby swoją „filozofią" pedagogiczną i swoją „istotą wychowania" obarczył obecnie postępowe nauczycielstwo, to kto wie, czy nie należałoby usprawiedliwić zarzutów co do wypaczania duszy nauczycielstwa i zwracania jej przez Związek w niepożądanym kierunku.

Trudno tutaj poważnie się zajmować tą mętną epistołą, wypełnioną patetyczną pseudonaukową treścią.

To, co się tam mówi, a raczej czego się można domyślać z niezmiernie zawiłej frazeologii, sprowadza się do stwierdzenia klęski, polegającej na „zatomizowaniu, rozproszkowaniu się wpływu wychowawczego, a co zatem idzie ogólnej postępowej nihilizacji wszelkich wartości moralnych, jakie wychowanie nieść winno", a ratunkiem tutaj może być tylko przyjęcie podstawowych tez filozofii pedagogii Hoene-Wrońskiego.

Zet, nie uwzględniając różnic czasu, stanu rozwoju, badań naukowych i dociekań filozoficznych, przenieść tę filozofię usiłuje żywcem do spraw współczesnych. Po upływie całego stulecia i na etapie rozwoju, który osiągnęła filozofia od czasu romantyzmu, próbują dziś ci reformatorzy wychowania zalecać nam system filozofii Hoene-Wrońskiego, należący już dawno do historii. Podobne stanowisko nie uwzględnia momentu twórczego w wychowaniu człowieka i w swojej zaśniedziałości opuszcza nie tylko znaczenie całego nowoczesnego dorobku nau-

kowego w wychowaniu, ale przeocza także fakt, że ze zmianą warunków kulturalnego, gospodarczego i politycznego życia zmieniają się także cele, które ludzie stawiają sobie również i w wychowaniu, a które stanowią jeden z najważniejszych czynników procesu wychowawczego. Uznawanie dążeń pedagogicznych naszych czasów za bezwartościowe, a w każdym razie wyraźne ich bagatelizowanie, trzymanie się jedynego miernika wartości w dziedzinie myślenia i pracy pedagogicznej, jakim ma być filozofia Hoene-Wrońskiego, jest typowo scholastyczno-talmudyczne. Czyż można poważnie traktować takie, naprzykład, bałamutne twierdzenie: „Wystarczy porównać Tablicę psychologii Wrońskiego, oraz poznać z pism Wrońskiego to, co pisze on o rozwoju świadomości, by się przekonać, że Wroński zagadnienie osobowości ujmuje (i rozwiązuje) *tak kapitalnie i wyczerpująco, jak tego nie robi żaden podręcznik psychologii współczesnej*". I po tem wszystkiem p. Madej chce nas przekonać, że nie on zatrzymał się w rozwoju, choć wystarcza mu system filozofii z przed wieku, lecz właśnie postępowe nauczycielstwo!

Łatwiej jest pisać bałamutne i renegackie listy otwarte ku uciesze wrogów demokracji, niż prace o istocie wychowania ku pożytkowi ogółu.

UCZEŃ O MISTRZACH

We Lwowie ukazała się książka p. Zdzisława Stahla p. t. „Polityka polska po śmierci Piłsudskiego". P. Zdzisław Stahl należał do tego ruchu młodych, który powstał naprzód w ramach obozu „Wielkiej Polski", a później przeistoczywszy się w otwartą frondę, odbiegł rozczarowany od macierzy, zerwawszy z nią wszelkie węzły ideowe i partyjne. W wyniku tego w swoim czasie głośnego rozwodu politycznego powstał powszechny związek „Młodych narodowców", który jednakże nie stanowił jakiejś jednej określonej bryły nowo - endeckiej, lecz składał się z dwóch odprysków odrębnego kształtu. Jeden o barwie umiarkowanej, „państwowo - twórczej" wyodrębnił się jako oddział regionalny z siedzibą we Lwowie, przyjąwszy nazwę „Organizacji Myśli Politycznej", drugi zaś o barwie brunatno - hitlerowskiej rozsiadł się pod bokiem macierzy w Warszawie i zasłynął wkrótce jako „Obóz Narodowo - Radykalny".

Ostrze książki p. Zdzisława Stahla zwraca się wyraźnie przeciw własnej macierzy i odsłania jej oblicze ze znajomością rzeczy osiągniętą w drodze gorzkich doświadczeń i rozczarowań.

Wprawdzie nie podzielamy wszystkich wypowiadanych poglądów autora na rzeczywistość polską i zwłaszcza różnimy się mocno w ocenie sił społecznych i w wyborze środków, mających zapewnić wewnętrzną niepodległość i potęgę Polski, jednakże przyznać autorowi musimy, że jego krytyka endecji jest nie tylko rzeczowa i konsekwentna, ale i bardziej dotkliwa niż pochodząca od ludzi, którzy nigdy udziału nie brali w rozkładowej robocie obozu niewiadomszczyzny, ani też na chwilę nie ulegli szerzonej przez niego zarazie psychicznej. W tem oświetleniu krytyczne sądy p. Zdzisława Stahla nabierają swoistej wymowy i osiągają niezaprzeczenie wartość dokumentu. Z tych względów niektóre wyjątki z tej książki przytaczamy poniżej:

ŚWIADOMI WROGOWIE POLSKI

„Stronnictwo Narodowe, pisząc o swoich manifestacjach i rozruchach, które sobie przypisuje, wyliczając stu zabitych w ciągu kilku lat i reklamując w ten sposób rozwój wartości bojowej swego ruchu, ulega złudzeniu. To są tylko skutki nastrojów rozprzężenia, które w konkurencji ze stronnictwami klasowymi wyzyskuje ono w kraju, będąc w opozycji, ale których nigdy samo nie przemieni na pozytywny kapitał polityczny.

Ci zabici, to nie są bohaterowie polskiego ruchu narodowego, tylko *ofiary* demagogii, nędzy albo słabości władz. Bohaterami walki *z polską organizacją państwową* mogą być tylko świadomi wrogowie Polski".

„MUSIMY ZROBIĆ REWOLUCJĘ".

„Od początku przeciwnik Konstytucji Marcowej, od jesieni roku 1925 zajmował się sam Dmowski bezpośrednio przygotowywaniem przewrotu ustrojowego i cała jego akcja polityczna w ówczesnym Związku Ludowo - Narodowym do tego zmierzała. Propagował faszyzm, wyśmiewał rządy sejmu, rozpalał nastroje młodzieży, a z wiosną r. 1926 wyjechał zagranicę dla wysondowania w tym celu sytuacji międzynarodowej. Tam na dziesięć dni przed zamachem majowym słyszałem na własne uszy i z ust jego własnych poważne dobrze zapamiętane słowa: *„czas skończyć w Polsce z sejmokracją, musimy zrobić rewolucję, trzeba w tym celu stworzyć organizację"*.

ARYCERSKIE PIERWIASTKI DUCHOWE.

„W doktrynie monopolu narodowego, posiadało Stron. Nar. groźnego konkurenta: wojskową i powstańczą tradycję narodową, wreszcie ostatnio Legjony i Józefa Piłsudskiego. Główny przeto wysiłek propagandy i publicystyki wkłada się w obniżenie wartości tej tradycji. Stworzono w tym celu teorję, opartą na myślowych podstawach pozytywizmu, odpowiadającą małomieszczańskim, wygodnym i arycerskim pierwiastkom duchowym: teorię sprowadzającą wszystkie zbrojne wysiłki odzyskania niepodległości od Kościuszki do Dąbrowskiego po Józefa Piłsudskiego do ...intrygi masońsko - żydowskiej. Specjalnych ludzi zaprzężono do uzasadniania tej tezy: K. M. Morawski naświetla w tym kierunku dawniejszą historię, swoje „Źródła rozbioru Polski", a Giertychowi dyktuje ona jego skonfiskowaną książkę p. t. „Tragizm losów Polski" o treści, znanej z recenzji w prasie".

ZARAZA W GRENADZIE.

„Pogodzenie masońskich intryg z triumfem traktatu wersalskiego, sprawia wogóle pewien kłopot. Sam Dmowski twierdzi, że prócz Bratianu i niego, wszyscy inni twórcy traktatu byli masonami. Ten sam pogląd wypowiada literatura niemiecka, a teza ta, według wszelkiego prawdopodobieństwa jest prawdziwa. Opanowanie niemal wszystkich kół politycznych w demokratycznych państwach zwycięskiej koalicji przez rozmaite loże masońskie jest faktem notorycznym. Dla teorji Stron. Nar. wynika stąd jednak oczywisty kłopot i zaraza w Grenadzie. Wniosek bowiem prosty, że skoro traktat wersalski był dziełem masonerji, to Polska skoro, powstała w Wersalu, to powstała dzięki masonerji. Ale, co gorsza, powstała ze współdziałania obozu dem. narodowego z masonerją: Jakto więc i sami mielibyśmy paść ofiara własnej doktryny?"

WIDMO NA WESTERPLATTE.

„Kiedy Hitler doszedł do władzy w Niemczech i gdy dzięki konfliktowi w Gdańsku, polski oddział zbrojny obsadził Westerplatte, rozmawiałem z jednym z najwybitniejszych przedstawicieli otoczenia Dmowskiego. „Przekona się pan teraz — były słowa mojego rozmówcy — jak silne są zakulisowe wpływy masońsko - żydowskie wśród Piłsudczyków. Zaczną ostry kurs antyniemiecki i dadzą się pchnąć do wojny dla żydowskiego interesu międzynarodowego". Taką opinję urabiało wtedy kierownictwo

Str. Narodowego. Jakim torem pobiegły rzeczywiste wypadki, wszyscy dziś wiemy. Polska na mocy decyzji Piłsudskiego wbrew naciskowi światowego „żydowstwa i masonerii", nawiązała pierwsza stosunki z Hitlerem i podpisała układ o nieagresji. Opinia Stronnictwa Narodowego, jak niepyszna, powrócić musiała do starych zarzutów germanofilstwa".

CHYTRZE PODSUNIĘTE PIERWIASTKI.

„Jeśli chodzi o ideę Ruchu Młodych, radykali wypaczyli ją, doprowadzając do skrajnych absurdalnych form teorię samodzielności i niezależności pokoleń. Oczywiście tylko teorję, bo sami nie byli myślą ani oryginalni, ani samodzielni. Deklarowali wreszcie dumnie wyzwolenie ze złych tradycyj „starej endecji", a w gruncie rzeczy nie wnieśli jednego grama oryginalnej myśli politycznej. Dali się natomiast użyć nieświadomie do najpaskudniejszego zabiegu taktycznego, jaki zastosowało Str. Nar. w odbudowanem państwie: do próby zaszczepienia młodemu pokoleniu powstańczej tradycji i rewolucyjnego myślenia w stosunku do własnego państwa. To, co zwalczano najzaciekiej w stosunku do obcej władzy, to samo próbowano i próbuje się wpoić młodzieży w własnem państwie. I te chytrze podsunięte pierwiastki przejęła również z naiwnym zapałem młodzież nar. radykalna".

SŁABE NERWY ADAMA DOBOSZYŃSKIEGO.

„Ostatnio na tem samem tle dokonała się secesja myślenicka. Sztab Stron. Narodowego orzekł, że krok ten był wyłamaniem, a p. Giertych w „Warsz. Dz. Narodowym" zawyrokował, że p. Doboszyński objawił słabe nerwy. Mocne nerwy, zdaniem partyjnych władz tego stronnictwa polegają widać na zdolności zachęcania innych do ryzykanckich i awanturniczych kroków, samemu się ich wystrzegając ostrożnie, a także na spokojnem uprawianiu polityki w kierunku wprost przeciwnym, niżby to wymagały głoszone zasady. Wyłamanie z takiego środowiska jest chyba objawem całkiem innej treści, niż słabości nerwowej. Jest buntem przeciw zakłamaniu wewnętrznemu, który tutaj przybrał fałszywy kierunek".

NIEZBYT SUMIENNY CHWYT.

„Partia zagradza drogę do państwa, chce z niem konkurować i wynieść się na pierwsze miejsce, stawia zasadę, że trzeba być jej przedewszystkiem wiernym. Stron. Nar. operuje tu niezbyt sumiennym chwytem, który ma tę moralność uświęcić. Identyfikuje siebie z Narodem, a potem broni absurdalnego przeciwstawienia Narodu Państwu i wywyższenia go ponad Państwo. Naprawdę zaś mamy w tej żonglerce pojęć do czynienia nawet nie z talmudyczną finezją, lecz z przeciwstawieniem p a r t i i państwu i wywyższeniem partii ponad państwo. Okazuje się bowiem zawsze z wywodów, na temat publicystyki Stron. Nar., że ten swoiście pojęty naród, wypowiada się ustami przedstawicieli tej partii i w jej władzach posiada swoją siedzibę. Patrjotyzm zaś, to poprostu wierność Stron. Narodowemu, możnaby powiedzieć *partjotyzm*".

POBYT W PIEKLE

OBÓZ KONCENTRACYJNY W ESTERWEGEN

Opis poniższy zamieszczono w poważnem czasopiśmie nowojorskim *The Nation* z dn. 12 września 1936 r. Autor, pisujący pod pseudonimem Johann Schmidt, spędził w Esterwegen sześć miesięcy. Obecnie przebywa w Stanach Zjedn. A. P.

Obóz koncentracyjny w Esterwegen, gdzie mnie uwięziono, składa się z dwóch ogrodzeń, oddzielonych od siebie zasiekami z drutu kolczastego. W mniejszej zagrodzie mieszczą się biura komendanta obozu i urzędników administracyjnych, garaże, kuchnia, stołownia, łaźnia, plac zbiórki i koszary dla blisko 400 strażników z oddziałów S. S. Większa zagroda stanowi właściwy obóz więzienny, obejmujący 10 baraków, warsztaty, kuchnię, łaźnię i plac zbiórki. Naokoło tego obozu biegnie „ścieżka śmierci", piaszczysty pas, o szerokości 30 cali, wzdłuż którego wiszą ostrzegawcze tarcze z wymalowanymi na nich emblematami śmierci. Ktokolwiek wstąpi na tę ścieżkę, może być bez żadnego ostrzeżenia zastrzelony przez wartownika. Otaczają ją zasieki z drutu, a pomiędzy nimi i zewnętrznym murem biegnie inna ścieżka, o szerokości około 45 cali, po której tam i z powrotem bez przerwy chodzą wartownicy. Nad bramą, wiodącą z jednego ogrodzenia do drugiego, znajduje się wieża, obsadzona dniem i nocą przez karabin maszynowy z obsługą. Inne wieże rozmieszczone są na krańcach muru, otaczającego obóz.

Więźniów jest w obozie od 1000 do 1200. Podzieleni są na następujące grupy:

Przestępcy kryminalni. Nazi klasyfikują jako kryminalistów takie osoby, które w ciągu roku otrzymały ponad 5 wyroków kryminalnych, w tem jeden wyrok skazujący na półroczne więzienie. Takim przestępcom po odbyciu kary normalnej dodają dwa albo trzy lata pobytu w obozie koncentracyjnym. Więźniowie kryminalni i polityczni spełniają te same prace i traktowani są w jednakowy sposób, różnią się jednak ubiorem. Rozmowy pomiędzy kryminalnymi i politycznymi, chociaż pracują razem, są zakazane.

Austriacy. Wielu austriackich hitlerowców po rewolcie w 1934 roku uciekło do Niemiec. Część z nich została włączona do niemieckich organizacyj nazistowskich, reszta utworzyła Legion Austriacki. Jeśli który z nich wykroczył przeciwko dyscyplinie, lub ściągnął na siebie podejrzenie co do swej prawomyślności politycznej, lub poprostu tylko zdradzał chęć powrotu do swego cywilnego zawodu, wysyłano go do obozu koncentracyjnego, jako „więźnia honorowego". Austriacy w Esterwegen noszą specjalne uniformy i nie są zmuszani do pracy. Wolno im oddawać ukłon hitlerowski i, jako widoczną oznakę ich „uhonorowania", pozwala im się nosić sztylpy z lśniącej, czarnej skóry. Lecz mizerny jest ten honor. „Więźniom honorowym" zabronione jest surowo porozumiewać się z kryminalnymi i politycznymi, co ich wszakże nie powstrzymuje od napraszania się u więźniów-Żydów o niedopałki papierosów. Najwięcej wykroczeń dyscyplinarnych popełniają właśnie Austriacy. Często stają się więźniami politycznymi. W specjalnych barakach, oddzieleni od innych, ci narodowo-socjalistyczni „więźniowie honorowi" nie odznaczają się ani honorem ani życzliwością.

Więźniowie polityczni (w „areszcie ochronnym"). W obozie nie brak komunistów i socjalistów, znajdujących się w „areszcie ochronnym" od lutego

1933 roku i dotąd nie stawionych ani razu przed sądem. Do tej grupy należy Fritz Emmerich, poseł komunistyczny do Reichstagu, Ernst Heilmann, przywódca frakcji socjalistycznej, Kurt Eisner, syn byłego ministra-prezydenta Bawarii oraz Karl von Ossietsky, powszechnie znany pisarz. Ponadto wielu komunistów i socjalistów, którzy byli sądzeni i skazani, dostaje się do obozu po odbyciu kary z wyroku sądowego. Innych wreszcie aresztowała Gestapo za udział w robocie podziemnej — lub choćby tylko jako podejrzanych o to — i przysłała tutaj bez żadnego legalnego procesu lub nawet pomimo wyroku uniewinniającego.

Krytycy i pesymiści. Są to robotnicy, urzędnicy, sklepikarze i kupcy, którzy choćby w najłagodniejszej formie okazywali niezadowolenie z hitlerowskiego reżymu.

Więźniowie do przeszkolenia. Żydzi i „aryjczycy" bez przeszłości politycznej, których jedynym przestępstwem był wyjazd za granicę przed lub po przyjściu Hitlera do władzy lub powrót do Niemiec po plebiscycie Saarskim.

Wyznawcy Jehowy i Badacze Pisma Świętego. Są to członkowie głęboko religijnych i z gruntu nieszkodliwych sekt, którzy z powodu swego wierzenia, że żyjemy obecnie w czasach szatana, uważani są za niebezpiecznych wrogów państwa. Wszyscy prawie są to starsi już ludzie, pochodzący z niższych warstw mieszczaństwa i z odległych kątów prowincjonalnych. Siła ich wiary jest niezwykła. Kiedy pewnego dnia komendant obozu zakończył dłuższe przemówienie słowami: „Kto mi da zapewnienie na piśmie, że nie będzie więcej Badaczem Pisma Św., ten może się spodziewać szybkiego uwolnienia", znalazło się tylko kilku chętnych do podpisania. Reszta pozostała wierna, pomimo, że ci słabowici starzy ludzie wiedzieli dobrze, że czeka ich od rana do wieczora, w największy nawet upał, popychanie żelaznych taczek, naładowanych piaskiem — i to biegiem.

Żydzi, którym nie można było wytoczyć żadnej sprawy sądowej, wobec czego Gestapo aresztowała ich pod takimi zarzutami, jak „sabotowanie niemieckiej gospodarki" lub „pogwałcenie przepisów o surowcach". Są tu także „zdrajcy rasowi" — specjalny nazistowski wynalazek. Są to Żydzi, utrzymujący jakiekolwiek stosunki, choćby nawet najuczciwsze, z „aryjkami". Więźniowie tego rodzaju muszą przez pewien czas chodzić obwieszeni z tyłu i z przodu plakatami: „Jestem zdrajcą rasy". Ze wszystkich więźniów Żydzi traktowani są najgorzej. Do pracy warsztatowej nie dopuszcza się ich wcale: „Żydzi na czoło!", pada rozkaz, gdy na wykonanie czeka najcięższa praca. Egzemplarze „Stürmera" rozdawane są gratis szeregowcom S. S. i ten posiew antysemityzmu przynosi obfite żniwo. Świadczą o tem groby na cmentarzu.

**
*

O piątej rano, a w zimie około szóstej, rozlega się dzwonek na pobudkę, poczem w wielkim pośpiechu następuje mycie się i ubieranie, słanie łóżek i śniadanie. Po apelu poszczególne grupy robocze opuszczają obóz. O dziewiątej jest krótki odpoczynek, w południe przerwa półtoragodzinna, o szóstej koniec pracy. Potem znów apel, obiad, czas wolny i o dziewiątej capstrzyk. Więźniowie, którzy mają zajęcie w kuchni, łaźni lub w warsztacie, są przedmiotem zazdrości. Taka praca chroni ich nietylko od słońca, deszczu i śniegu, lecz również od znęcania się i „sportu" podczas roboty. Około 200 ludzi pracuje na bagnach od maja do września, zakładając przewody elektryczne, kopiąc kanały i wycinając torf na opał. Inne grupy przewożą torf do obozu. Jeden z oddziałów — prawie zawsze złożony z Żydów i Badaczy Pisma Św. — czyści latryny. Praca zawsze znajdzie się dla wszystkich więźniów, choćby to miało być bezcelowe pchanie żelaznej taczki, pełnej piasku.

Od 100 do 150 ludzi mieszka w jednym baraku, składającym się z dużej jadalni, będącej jednocześnie pokojem „mieszkalnym", z sypialni i umywalni. Szafy na naczynia, długie stoły i stołki stanowią umeblowanie stołowni. Na mocy oficjalnego rozporządzenia poziom życia więźniów musi być poniżej poziomu życia bezrobotnych, utrzymywanych z funduszów publicznych, pożywienie więc w obozie jest odpowiednio złe. Śniadanie składa się z płynu o nieokreślonej konsystencji, zwanego kawą, bez mleka i bez cukru. Obiad ogranicza się do miski ryżu, soczewicy lub fasoli, bez mięsa i tłuszczu. Na kolację więźniowie dostają po małej porcji margaryny i zwykle po kawałku kiszki wątrobianej, wyrabianej w obozie — odznaczającej się tem, że przestaje być jadalną już następnego dnia po wyrobie, ponadto kawę. Każdy więzień otrzymuje funt chleba dziennie.

Lekcję dyscypliny więzień otrzymuje zaraz po przybyciu do obozu. Przybysza otacza w koło kilku S.S. Wymyślania, uderzenia i kopnięcia prędko wyjaśniają mu istotę jego sytuacji. Później pierwszy posmak „sportu": „Baczność! Naprzód marsz! Śpiewać! — Ach, ty świnio jedna, nie chce ci się śpiewać?! Padnij! Powstań! Biegiem marsz! Padnij! — Przysiad! — dwadzieścia razy, pięćdziesiąt razy — „Młynek!" Młynek jest specjalnym wynalazkiem esterwegeńskiej kanalii. Leżąc na plecach, z rękami skrzyżowanymi na piersi, trzeba obracać swe ciało to na prawo, to na lewo. — „Prędzej! Co? nie chce wam się, psy jedne! To dla waszego zdrowia, to jest gimnastyka, to wam da siłę i piękność!". Jeden S.S. wskakuje leżącemu na plecy, inny sypie mu piasek w usta: „No, dalej! Kręć się, aż się rozlecisz!" I tak męczarnia trwa bez przerwy — serce wali jakby miało pęknąć, oddech z trudem wydobywa się z płuc, „Sport" trwa, aż póki noc nie zapadnie. W kilka minut później więźniowie leżą na swych siennikach. Hałaśliwy tupot ciężkich butów strażników — gwizdek, „Powstań z łóżek!". I znów sport. „Pod łóżka! Na łóżka! Na czworakach do stołowni! Śpiewać! Śpiewać „Von Himmel hoch, da komm ich her!".

Strażnicy doskakują jak złe psy do oddziałów wychodzących na robotę. „Śpiewać! Puścić tam nową płytę!" Kroku nie można postawić, nie będąc zmuszanym do śpiewania. Może deszcz lać strumieniami, może z upału język przysychać do podniebienia, może lodowaty północny wiatr zapierać oddech — nic nie szkodzi, trzeba śpiewać. „Do roboty, marsz!" Pracować trzeba jak można najszybciej; ani chwili na odetchnięcie lub wyprostowanie pleców. „Ty świnio żydowska! Do mnie, biegiem! Patrzcie go, tchu mu brak! Już ja cię z tego wyleczę!" I tak dalej, zarówno z poszczególnymi jednostkami, jak z całymi grupami. Naprzykład, przy apelu omyłka w odliczaniu. „Padnij! Tysiąc dwieście ludzi pada na

ziemię. Tysiąc dwieście ludzi robi „młynek". „Rzutem padnij wprzód!" Tysiąc dwieście ludzi z ramionami splecionymi na plecach rzuca się przed siebie w błoto.

Najmniejsze naruszenie przepisów obozowych pociąga za sobą kary godne średniowiecza. Po wieczornym apelu na komendę „Zagiąć skrzydła" więźniowie tworzą pusty w środku czworobok. Oficer S. S. wstępuje tam i czyta: „Więzień, taki-to, skazany jest na otrzymanie dwudziestu pięciu uderzeń batem w plecy". Ofiara stoi w środku czworoboku obok masywnej ramy, do której przywiązują go rzemieniami za szyję i kolana. „Więźniowie, baczność! Na prawo patrz!". Każdy ma się przyglądać. „Ochotnicy, wystąp!" Pięciu S.S. wyskakuje z szeregu. Każdy z nich zadaje ofierze pięć silnych uderzeń w plecy i kark. Lekarz obozowy, również oficer S.S., naprzód wydaje swoje medyczne orzeczenie co do możliwych skutków kary, a później przygląda się scenie. Bicie idzie powoli. Torturowany więzień zmuszony jest liczyć uderzenia wyraźnie i donośnym głosem. Jeśli się pomyli, dostaje więcej. Gdy go odwiążą, musi odnieść ramę wśród drwin i śmiechu strażników.

Więzienie obozowe, to — „paka". Za najmniejsze choćby wykroczenie grozi spędzenie tam nocy, bez siennika, pod wełnianym kocem. To jeszcze nie jest takie straszne, lecz litość bierze, gdy się myśli o tych, którzy skazani są na całe tygodnie zamknięcia w ciemnicy. Biedaków tych zakuwają w kajdany i pozostawiają w ciemnościach. Nie mogą oni ani siedzieć ani leżeć. Ręce i nogi im puchną i ropieją ranami. Tylko co trzeci dzień dostają normalne pożywienie więzienne, w inne dni mają tylko chleb i wodę. Torturują ich w straszliwy sposób. Cisza nocna rozpada się rozdzierana ich krzykami. Więźniowie, przywykli już do cierpienia i złego traktowania, bledną i drżą, słysząc te nieludzkie wrzaski. Niektórzy jednak nieliczni więźniowie — oskarżeni o napaść na S.S. lub S.A. — przeznaczeni są na zastrzelenie „podczas ucieczki".

Potem grzebani są w bagnie. Trumnę ze zwłokami ładują na ciężarówkę. Razem z nią załadowują Żydów-więźniów, którym każą siąść na trumnie i śpiewać: „Muss' i' denn, muss' i' denn, zum Städtele hinaus" w chwili, gdy samochód opuszcza obóz. Szybko kopie się dół w bagnistej ziemi; trumnę rzuca się bylejak na dno grobu. Z pośpiechem dół zasypują. Kilka minut „sportu" obok świeżej mogiły. Tak wygląda pogrzeb na bagnie.

Jak ludzie mogą wytrzymać tygodniami, latami całymi nawet, w tym piekle? Świat zewnętrzny przestaje istnieć. Jest tylko jeden świat prawdziwy — obóz. Nazewnątrz ludzie mają żony, dzieci, rodziców, przyjaciół. Tutaj mają tylko towarzyszy. Nowy przybysz spotyka się natychmiast z koleżeńską pomocą. Słowa pocieszenia i zachęty do wytrwania, praktyczne wskazówki jak się zachowywać, ułatwiają pierwszy dzień pobytu. Stanowisko społeczne, wyznanie, wykształcenie, poglądy nie odgrywają roli. Jesteś towarzyszem niedoli i uważają cię za kolegę dopóty, dopóki postępujesz po koleżeńsku. Należysz do grupy 600 czy 700 więźniów. Oczywista, różnią się oni znacznie pod względem charakteru i usposobienia, każdy jednak musi się podporządkować wymaganiom koleżeństwa. I każdy chętnie to czyni. Każdy barak ma swego „starostę". Sytuacja jego jest trudniejsza, niż innych więźniów. Żaden jednak z tych „starostów" nie popełnił nigdy niekoleżeńskiego czynu wobec innego politycznego więźnia, nigdy nie oskarżył towarzysza, nie nadużył swej władzy. Wielu z nich wolało pójść do ciemnicy, niż wydać kolegę. Ta zgnębiona, maltretowana masa posiada heroiczną siłę do budowania wśród tego piekła swego własnego świata. Podstawą tego świata jest koleżeństwo. Pomoc wzajemna, materjalna i duchowa, uważana jest za rzecz naturalną i powszechnie obowiazującą.

(Tłom. z ang. *T. Em.*).

NA PIERWSZY POCIĄG

Mogło sobie we wsi wcale nie być zegara, Stefka i tak nigdy nie spóźniła się na pociąg. Poprostu w jakiejś godzinie najmocniejszego snu matka budziła ją wołaniem: wstawaj, u Magdy już się dawno świeci; i Stefka wyskakiwała prosto z pod kołdry i ojcowej jesionki na zimną izbę, narzucała sukienkę, sznurowała trzewiki.

— Ja zaraz będę gotowa, za pół minutki, tylko niech tam mama co naszykuje na śniadanie.

— Zagotowałam ci mleka, zjesz z chlebem, bo nic innego niema. Zresztą, to przecież najzdrowiej.

— Dobrze, niech będzie mleko, tylko nie takie gorące, jak wczoraj bo sobie znów poparzę język z pośpiechu, a u Rózi też już się świeci, niech no mama zerknie oknem.

— Świeci się już pewno z pół godziny, pospiesz się z tem jedzeniem, bo nikt na ciebie nie będzie czekał.

— Zdążę, niech się mama nie boi, zanim Różka ponalewa bańki, zanim kluski odgrzeje to ja jeszcze będę na nią musiała czekać. A mama niech idzie spać, poco marznąć, na śniadanie jeszcze za rano. Dowidzenia bo już lecę.

Dowidzenia.

Jest jeszcze głęboka noc, tylko maleńkie świetlne punkciki wetknięte gdzieniegdzie w ciemności wskazywały, że to mleczarki szykują się na pierwszy pociąg. Do Różki było najbliżej i Stefka tu najpierw wstępowała. W izbie było duszno i kwaśno od niemytych nigdy szaflików i krowich garów. Te szafliki i szafle to były najważniejsze sprzęty w izbie. Służyły za siedzenie, za stoły. Różka przysiadała na którymś podłożywszy przed tem denko jeśli leżało gdzieś na podorędziu, na drugim stawiała wielką patelnię z odsmażonemi, gryczanemi kluskami.

Tak lubię gryczane kluski, że matka musi mi codzień gotować, mówiła uśmiechając się swojemi bezzębnemi ustami, ale ty siadaj Stefcia, poco masz stoić, jesce dużo czasu, zdązym napewno.

— Nie, postoję, niech Róźia je, bo to napewno już późno.

O, ja jeszcze nigdy się nie spóźniłam, dla mnie nie potrzeba zegara, już tyle lat jeżdżę, to się zawsze zbudzę na porę.

Gryzła z pośpiechem tym jednym swoim przednim zębem przysmażone, twarde kluski a Stefka roz-

glądała się po izbie. Nie było tu bardzo czemu się przyglądać. W dwóch rozgrzebanych łóżkach spała cała rodzina, trzech chłopów i dwie kobiety. Było beznadziejnie brudno i smród. Na „kumodzie" pod oknem leżał kawał razowego chleba a obok brudny obskubany grzebień i chusteczka Róźi. W tej komodzie stara chowała pieniądze. W garnuszkach, osobno piątki, osobno dziesiątki, dwudziestki, złotówki. Żeby się nie pomyliły.

— Żebyśmy my tak mieli te pieniądze, myśli Stefka z jakąś wcale nie dziecinną chciwością. Moja matka, toby wiedziała, co zrobić. A oni co? Żyją jak świnie w chlewie, zjedzą byle co, żeby tylko w „garnuszkach" było jak najwięcej. A jakby tak piorun trzasł i był pożar? Pieniądze poszłyby z dymem i koniec.

Wreszcie Róźka skończyła jeść te swoje codzienne, przysmażane kluski, kładła waciak i chustkę, stawiała tłomok na kufrze, żeby było lżej poddawać, podparła się plecami, zawiązała węzeł z płachty pod brodą.

— No to już. Przykręćno lampę Stefciu, poco matka ma złazić z łóżka a gasić się już nie opłaci bo niedługo trzeba wstawać krowom gotować. A teraz prędko, bo tamte już pewno czekają; poco później lecieć z wywieszonym językiem, lepiej trochę wcześniej. Pewno wszystkie już są u Rosiny, bo u Magdy ciemno i u Stachowej.

U Rosiny Stefce najlepiej się podobało. Kuchnia była duża i czysta, nikt tu nie spał, pachniało tylko mleko i gotowane kartofle. Sama Rosina była czysta, w dużym niebieskim fartuchu i wełnianej chustce. Taka prawdziwa gospodyni. Wszystkie się tu zbierały bo mieszkała ostatnia.

A, nareszcie jesteśta guzdrały zawsze trzeba na was czekać, wołała niby zła, ale zaraz się uśmiechała — dalej baby za tłomoki i jazda, bo pociąg na was nie będzie czekał.

Zarzucały sobie na plecy ciężkie banie, poddawały jedna drugiej i wychodziły. Szły mocno zgarbione, mleko z chlupotem przelewało się w niepełnych bańkach; w ciszę wpadał ostry chrupiący odgłos kroków, głośny hałaśliwy śmiech, lub słowa. Może dlatego, że była noc, mówiły o tem co w ich logice bezpośrednio łączy się z nocą, o tej części życia, która dla nich odbywa się nocą, o spaniu i o jego skutkach, o tem która zaszła a która nie jest taka głupia. Naturalnie zaszła Olkowa, ta co ma pięcioro i chorego męża, który nie robi już trzy lata bo ciągle po szpitalach, ciągle ma operacje.

— Wiesz żeby on tak ze trzy lata nie robił dzieci to by było lepiej; bo jeszcze zrobi drugie pół tuzina a potem dopiero umrze, to co?

— To do was Magdo nie pójdę żebyście mi pomogli chować, odcina się ostro zaczepiona, ale w głosie jej drży płacz.

— No nie złość się Bronka, ja tak tylko z życzliwości, wcale nie przez złość. Bo myślę sobie: poco ci tyle dzieci; dwadzieścia pięć lat kobieta, 6 lat za mężem i już pięcioro a szóste w drodze. A co będzie dalej?

— To co ja zrobię, łby im będę ukręcać, albo topić, jak się rodzą. A zresztą: da pan Bóg dzieci, to da i na dzieci.

— Da ci, czekaj, aż ci Pan Bóg da, nie noś codzień tych baniów, nie zrywaj się o trzeciej, tylko się na Pana Boga oglądaj, to będziesz żarła, — rzuca znów Magda zjadliwie, szyderczo.

— Co wyście się tak do moich dzieci przyczepili, wybucha Olkowa swoim piskliwym, trochę dziecinnym głosem. Nie możecie swojej znajdy pilnować; pewno wam Pan Bóg nie do bo kolejarze wam dają, ale nie bójta się, niedługo się skończy psie wesele, nie zawsze będziecie młoda. Jeszcze wam do tego przyjdzie, że na starość głowy nie będziecie mieli gdzie przytulić. A ja dzieci wychowam, pomęczę się za młodu, ale później choć będzie mnie komu przygarnąć.

Stefka niby idzie razem, ale jest najzupełniej sama, osobno. Może nie sama, są z nią jej szkolne albo domowe sprawy, ale „to" jest po za nią. O tem, co tamte mówią nie warto myśleć, bo to jest nie nazwane, nie podlegające żadnemu określeniu, wcale nie ciekawe. Stefka wie o istnieniu w życiu każdego człowieka jakiejś „Wielkiej Tajemnicy" przez którą każdy musi przejść, ale właśnie dlatego, że jest wielka, nie wolno jej roztrząsać dziecinnym rozumem. Na tamto przyjdzie właściwy czas a teraz jest najważniejsze: szkoła, dom.

W pewnem miejscu w ciemności błyska światełko, rośnie, rośnie, potem robią się z niego dwa. Zasapany, zmęczony, wtacza się na stację pociąg. Mleczarski. Stoi parę minut, bucha parą, sapie, wreszcie rusza w ciemność. W przedziałach jest duszno, od zapachu niedopranych przekisłych szmatek do mleka, od bajowych chustek, w których się cały dzień chodzi, a w nocy nakrywa dzieci bo pierzynkę toby zaraz zgnioły. Teraz, przez te dwadzieścia minut można spać, aż do samej Warszawy. *Zofia Goździejewska.*



PIONIERSKI TRUD ARTYSTÓW

Bez szumnych, długotrwałych zapowiedzi Związek Nauczycielstwa Polskiego stworzył stałą instytucję teatru objazdowego z doskonałą fachową obsadą artystyczną i techniczną. Teatr ten, noszący nazwę „Płomyka" i „Płomyczka", przeznaczony przede wszystkim dla dzieci, odwiedzi mnóstwo miasteczek i osad w całej Polsce. Program tego teatru jest właściwie tak ułożony i tak uwzględnia rozpiętość skali umysłowej i estetycznej widza, że nie tylko dzieci na głuchej prowincji, ale także starsi znajdą w tych widowiskach przyjemną i pouczającą rozrywkę, której dostarczy zarówno doborowy tekst poetycki, jak i melodyjna piosenka, gwara regionalna i taniec charakterystyczny, barwny folklor w ubiorach i piękno przeróżnych krajobrazów polskich. Widowiska te odbywać się będą na miniaturowej scence kukiełek, oświetlonej elektrycznością, którą wytwarza własne dynamo, mieszczące się w dużym samochodzie, sporządzonym specjalnie i przystosowanym do celów długiej podróży teatru i aktorów „Płomyka" i „Płomyczka". Hasło tego pierwszego,

bezpłatnego, objazdowego teatru brzmi: „Niesiemy piękno i szlachetną myśl wszystkim dzieciom Polski".

Kto miał sposobność przekonać się o głodzie widowiska teatralnego na wsi, zwłaszcza wśród dzieci szkolnych, kto doświadczył lub przypatrzył się syzyfowej pracy, podejmowanej w tym kierunku w niezmiernie ciężkich warunkach przez nauczycielstwo szkół powszechnych, ten oceni łatwo, jak ważną rzeczą okaże się ten teatr i jaką stanie się tam dźwignią kultury estetycznej. Trud artystyczny, podjęty z zapałem przez pionierów-aktorów i wysiłki twórcze, oraz nakłady materjalne, poniesione przez Związek Nauczycielstwa Polskiego, nie tylko mocno w drodze doświadczenia usprawiedliwione zostaną, ale także niewątpliwie wyznaczą nowe szlaki dla triumfalnego pochodu Melpomeny.

Pierwsze wiadomości, które otrzymaliśmy od dyrektorki tego pionierskiego teatru, p. Haliny Starskiej, zdają się świadczyć, że głucha prowincja zaczyna się tuż za bramami stolicy.

W Skolimowie, w znanem letniskowem osiedlu podwarszawskiem, teatr objazdowy powitany był jako siódmy cud świata, budząc wśród dzieci szkół powszechnych nieopisany entuzjazm. Wyniki doraźnie przeprowadzonej ankiety dają obraz głęboko zastanawiający, a jeszcze bardziej posępny i zasmucający, niż w Wilanowie, o czem pisaliśmy w poprzednim numerze *Epoki*. Bo oto okazuje się, że w miejscowości, oddalonej 15 klm. od stolicy — z kilkuset dzieci, obecnych na przedstawieniu, ani jedno nie widziało dotąd w swym życiu ani teatru, ani kina, ani kukiełek.

Do przyjaciół „Epoki"

Prosimy o podanie nam adresów osób, którym należy przesłać numery okazowe „Epoki"

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Hiszpania nie przestaje ani na chwilę być w ośrodku uwagi całego świata, losy tej walki zapełniają co dzień szpalty wszystkich pism, są tematem rozważań publicystycznych, nie ustającej pisaniny i rozmów dyplomatów. Dzieje się to pomimo, że w końcu lata i w pierwszych tygodniach jesieni nie wiele zaszło wydarzeń doniośliejszych. Wyliczymy je pokrótce: rokoszanie zdobyli Irun i San Sebastian, zajęli Toledo, zbliżyli się na froncie środkowym do Madrytu, wojska republikańskie wtargnęły do Oviedo; na czele rządu legalnego w Madrycie stanął przywódca socjalistów Largo Caballero; rząd autonomiczny Katalonii zrekonstruował się, po raz pierwszy wzięli w nim udział przedstawiciele anarchistycznych związków zawodowych; rząd madrycki za zgodą Kortezów proklamował autonomię kraju Basków, t. j. prowincji Guipurcoa Alava i Biskaja; rebelianci obwołali głową swojego państwa gen. Franco i podzielili „Juntę" na komitety techniczne odpowiadające ministerstwom; poza tym weszła w życie umowa o tak zwanej nieinterwencji, a komitet do czuwania nad wykonaniem jej zasiada w Londynie. Oto wszystko: sucho wyliczenie faktów, zajmujące zaledwie parę wierszy druku, ale ileż kryje się za nimi dramatycznej treści, ile krwi, ile gwałtów, nieszczęść ludzkich, ile wreszcie faktów znamiennych, stanowiących ogniwa łańcucha wielkich wydarzeń.

Nigdzie chyba poza hitlerowskimi organami nie drukuje się tyle nonsensów i złośliwości pod adresem ludu hiszpańskiego borykającego się ciężko z rebeliantami i najeźdźcami, co w Polsce. Kto nie wyraża jednomyślności z tymi, którzy proklamują co dzień zwycięstwa narodowego dyktatora gen. Franco, nie przepowiada, że jutro w Madrycie zasiądzie junta generalska, a po jutrze upadnie rząd Bluma w Paryżu — ten jest poprostu bolszewik-komunista.

Jedną z fikcyj puszczonych w obieg przez większą część prasy polskiej jest twierdzenie, że w Madrycie rządzą komuniści. W rzeczywistości nawet po ostatniej rekonstrukcji rządu hiszpańskiego i objęciu premierostwa przez Largo Caballero rząd ten składa się z koalicji frontu ludowego z udziałem demokratów, a jedną z tek w gabinecie objął katolik baskijski; anarchiści odmówili udziału w rządzie. W zgromadzeniu Kortezów, które udzieliło rządowi temu votum zaufania wzięło udział 2 konserwatystów (jednym z nich jest uczciwy prawicowy republikanin Miguel Maura) i 4 posłów centrum z p. Portela Valladares na czele. Posiedzenie to odbyło się w nastroju, któremu wyraz dał premier Caballero, powtarzając okrzyk słynnej posłanki Dolores Ibarruri t. zw. Passjonarii: „Hiszpania woli zginąć stojąc, niż żyć na klęczkach"!

W krótkiej deklaracji programowej złożonej na tym posiedzeniu Caballero mówił: „Rząd, konstytuując się, zrezygnował ze wszystkiego co mogło by świadczyć o jednostronności. Jesteśmy dziś zjednoczeni dla wspólnego celu: walki z faszyzmem. Hiszpania walczy nie tylko o swoją wolność, ale o wolność całej Europy. Gdy zwyciężymy, zmieni się struktura państwa, gdyż walczymy przeciw wszelkim przywilejom. Urzeczywistnimy wówczas pierwszy artykuł naszej konstytucji, który oświadcza: „Hiszpania jest republiką pracowników".

Na tymże posiedzeniu szybko uchwalono autonomię dla kraju Basków, która wraz z autonomią Katalonii, urzeczywistnioną już w całej rozciągłości i stanowiącą w obecnej chwili prawdziwe nie-

omal ultimum refugium republiki, świadczy dobitnie, że nowa Hiszpania zmierza do wyzwolenia uciemiężonych i ludów, które w Hiszpanii Burbonów i generałów musiały się dusić i wynaradawiać. Mała ilustracja: gdy tylko wkroczyły do San Sebastian wojska gen. Mola natychmiast gazeta miejscowa, która nazywała się „Voz da Guipurcoa" (t. j. „Głos kraju Basków") została przemianowana na „Voz d'Espana" (t. j. „Głos Hiszpanii").

A więc rząd p. Largo Caballero nie jest komunistyczny, ma za sobą poparcie wszystkich oprócz zbuntowanych oficerów, większości kleru, mnichów, finansjery w rodzaju Juan March'a, który trzymał w chciwych rękach większość bogactw przyrodzonych kraju i jego handel międzynarodowy. Rząd ten ma za sobą głęboko religijnych Basków. Katolicka i konserwatywna Baskia walczy z gen. Franco do upadłego z całą zaciętością w obronie swego „statuto".

A któż przemawia w imieniu tego „czerwonego-komunistycznego" rządu z trybuny Ligi Narodów w Genewie, jeżeli nie znany działacz i myśliciel katolicki hiszpański powszechnie szanowany Angel Ossorio y Gallardo? Czy o jego przemówieniu zająknęło się choć jednym słowem które z pism katolickich w Polsce?

Ten wierzący i praktykujący katolik w odpowiedzi na ataki portugalskiego ministra p. Monteiro, który zakwestionował legalność rządu madryckiego, mówił m. in.: „Nie można stwarzać teorii, której mocą państwo ma zasługiwać na większy lub mniejszy szacunek w zależności od tego, jacy wrogowie przeciw niemu spiskują. Wyciągać stąd wnioski, że pewne czynniki siły, bogactwa i kultury zajęły stanowisko przeciw rządowi, było by przenoszeniem zagadnienia na teren niedopuszczalny. Któż w takim wypadku miałby decydować, gdzie znajduje się właściwa siła, bogactwo i kultura? W Hiszpanii istnieje rząd republikański, ponieważ naród pokojowo i wśród entuzjazmu ustanowił republikę, a obrane swobodnie Kortezy uchwaliły konstytucję, na której mocy działa obecny rząd"... Aby zobrazować swoją myśl, p. Ossoria przypomniał, że na początku XIX w. potężna armia zagarnęła całą Hiszpanię, miała po swojej stronie siłę, pieniądze, chwałę wojenną, mogła liczyć na dynastię, która zdradziła swe obowiązki, a wreszcie i na pewne kierunki myśli politycznej hiszpańskiej, wypowiadające się za tym, aby raczej ulec, niż walczyć; głos ludu był innego zdania; w zmiennej kolei walk doszło do tego, że w ręku rządu prawowitego był tylko malutki skrawek ziemi z jednym miastem Kadyksem. Ale ci odważni Hiszpanie, którzy bronili się w Kadyksie ocalili Hiszpanię; byli twórcami naszych dziejów nowożytnych...".

Na zakończenie wielki mówca hiszpański rzucił parę cierpkich słów pod adresem fałszywej neutralności „która nie czyni żadnej różnicy pomiędzy prawowitym rządem narodu hiszpańskiego, a buntownikami".

W tej uwadze Ossorio y Gallarda dotknął najboleśniejszego miejsca sprawy hiszpańskiej. Jak zachować się wobec walki na śmierć i życie toczącej się na półwyspie Iberyjskim, jak zachować się mają wielkie demokracje świata wobec buntu przeciw wolności i demokracji, podniesionego przez spisek generałów pozostających w zmowie z ponurą reakcją całego świata.

Pierwsze wyjście z tego ciężkiego zagadnienia stworzył rząd Bluma we Francji. Zwało się ono nieinterwencja. Wybrano tę odpowiedź na postawione wyżej pytanie, aby nie wciągnąć świata całego w odmęt straszliwej wojny, krwawych zapasów, od których nie ustrzegł by się ani jeden naród. Decyzję tę wybrano zapewnie z ciężkim sercem. Nic dziwnego, że jeszcze we wrześniu stanął premier francuski przed wielkim zgromadzeniem ludowym i tłumaczył dziesiątkom tysięcy robotników, dla czego Francja musiała wystąpić z inicjatywą nie interwencji. „Chcielibyście, abyśmy zaopatrywali w broń naszych towarzyszów hiszpańskich?" — pytał premier. A z tłumu padały głośne odpowiedzi: „Naturalnie". Wówczas premier tłumaczył, że inni znowu chcieliby zaopatrywać w sprzęt wojenny „powstańców". Aby temu zapobiec zawarto „dżentelmeński układ", że nikt nikogo zaopatrywać nie będzie. Dżentelmeni z Berlina, Lizbony i Rzymu, nie uznali jednak układu za wiążący bezwzględnie. Na frontach hiszpańskich zjawiły się dziesiątkami samoloty włoskie i niemieckie, przez Portugalię szły swobodnie transporty broni do buntowniczych generałów, jednostki floty wojennej Hitlera i Mussoliniego strzegły transportu Maurów z Maroko do Hiszpanii. Biała księga hiszpańska złożona w Genewie przez ministra Alvareza del Vayo — to wołający o pomstę spis wykroczeń przeciw nie interwencji. Sekretariat Ligi Narodów wstydził się ogłosić ten dokument w aktach urzędowych Ligi. Tuła się on więc po prasie niezależnej i pismach, które zachowały zrozumienie konieczności informowania czytelnika bez kłamstw i obłudy. Cierpliwość demokracji załamała się. Wyczuła ten moment sprytna dyplomacja Związku Sowietów i w tym samym momencie, kiedy u siebie trzebi resztki wolności myśli, więżąc Karola Radka i towarzyszów, występuje na forum międzynarodowym z inicjatywą obrony wolności działania w obronie demokracji hiszpańskiej. Wszystko więc jedno, kto z tą inicjatywą wystąpił, jest ona zupełnie zrozumiała, bo temu bluffowi, jakim stała się rzekoma nie interwencja należy przecież położyć kres. Rozpoczęte w dn. 9 b. m. pod przewodnictwem lorda Plymouth w Londynie narady o notach hiszpańskich i sowieckich stanowią zapowiedź rewizji dyplomatycznej sytuacji w tej sprawie. I tu znowu nasi popularni obserwatorowie przystosowani do potrzeb rodzimej reakcji będą mieli nowy zawód. Oni przecież już dawno przewidzieli, że nie tylko obecny cały rząd W. Brytanii, ale nawet Labour Party sympatyzują z gen. Franco i za nic na świecie nie uczynią nic takiego, na co zgadzają się Sowiety, czy komuniści. A tymczasem nie kongres Labour Party wypowiedział się za rewizją tak zwanej nie interwencji, ale i dyplomacja brytyjska jest zdania, że należy wszcząć dochodzenie o pogwałceniu zasad nie interwencji.

Rzecz prosta, że budzi to szczególny gniew w Berlinie. W ostatnich czasach w stolicy Hitlerlandu rozlegają się tony minorowe, proroctwa brzmią grobowo. W nadchodzącym roku będzie jeszcze gorzej — wieścił w Bückebergu — kanclerz Hitler — będziemy jedyną skałą porządku wśród wzburzonych czerwonych fal dokoła. A później proroctwo brzmiało jeszcze gorzej: jeżeli nasz urodzaj będzie o 20% mniejszy, będzie to katastrofa. Wśród tych czarnych przepowiedni dodał „wielki Führer", że w każdym razie nigdy nie zdewaluuje marki, bo było by to oszustwo... W parę dni później, gdy jego towarzysz w potrzebie hiszpańskiej zdewaluował walutę swego kraju o 40%, poczęto przebąkiwać, że obietnica złożona w Bückebergu nie będzie dotrzymana. Jednocześnie popłynęły ze „skały porządku" wieści o rozruchach głodowych, o masowych aresztowaniach w okręgach robotniczych, masowych procesach, nowych obozach koncentracyjnych i nowem wzmocnieniu władzy wszechmocnej Gestapo.



WYDARZENIA I DOKUMENTY

NIESŁYCHANY POMYSŁ

Wychodzący od dwóch lat we Lwowie miesięcznik literacko-społeczny *Sygnały* został nagle zamknięty z rozporządzenia lwowskiego starostwa grodzkiego. Zespół redakcyjny *Sygnałów* w osobach: Haliny Górskiej, Tadeusza Banasia, Tadeusza Hollendera, Mariana Promińskiego, Stanisława Salzmana i Karola Kuryluka wyjaśnia w liście do *Robotnika*, że dotąd ukazało się 21 numerów tego miesięcznika, między innymi jeden, poświęcony literaturze, sztuce i życiu ukraińskiemu, a także jeden specjalnie lwowski numer, wypełniony pracami takich pisarzy, jak K. Irzykowski, J. Kleiner, J. Parandowski, J. Wittlin, St. Wasylewski, K. Makuszyński, H. Naglerowa, E. Zegadłowicz, J. Staff, W. Horzyca, O. Ortwin, H. Krahelska, K. Twardowski, L. Chwistek, a współpracę zapowiedzieli Leon Kruczkowski i Julian Tuwim.

Październikowy numer *Sygnałów*, wychodzących dotąd regularnie, miał się ukazać z winy drukarni z dwudniowym opóźnieniem, i to właśnie posłużyło lwowskiemu starostwu grodzkiemu do zawieszenia pisma na mocy... austriackiej ustawy prasowej z 1862 r., przewidującej w art. 11-tym ust. 1-y, że pismo, które ukazuje się... niepunktualnie, może ulec zawieszeniu.

Cała prasa polska, bez różnicy kierunków potępiła solidarnie ten niesłychany wybryk starostwa grodzkiego we Lwowie. Zarządzenie to powinno być przez władze nadzorcze jak najrychlej uchylone.

O BOJÓWKACH ENDECKICH

„*Warszawski Dziennik Narodowy*" podaje cykl reportaży, malujących „epopeę bohaterską" bojówek endeckich w czasie wyborów miejskich w Łodzi. Oto wyjątek:

„Lokale organizacyjne Str. Narodowego — i odbywane w tych lokalach „odprawy" — wywoływały wrażenie, że się jest w siedzibie dowództw odcinków frontu, albo, jeszcze dokładniej, dowództw akcji partyzanckiej.

Po pierwsze dla tego, że widziało się w nich mnóstwo ludzi obandażowanych, a czasem ludzi okrwawionych, którym jeszcze opatrunku nałożyć nie zdążono. Muszę tu zresztą stwierdzić — ku zgorszeniu warszawiaków dziwiących się opieszałości policji — że nigdy z ust tych ludzi nie słyszałem ani narzekań, ani wołań o policyjne represje. Ludzie ci raczej wstydzili się swych ran i guzów, aniżeli je męczenniczo obnosili. Wstydzili się w myśl zasady, że „skoro się już bijesz, to raczej bij, niż bądź bity". I muszę tu stwierdzić — znowu ku zgorszeniu ludzi, siedzących w bezpiecznym zaciszu stolicy — że opatrunki okrywały w Łodzi nie tylko narodowe głowy".

NOWE OSKARŻENIE

Faszystowska *Myśl Polska* (nr. 17) pisze o organach endecji:

„Pozwolimy sobie cały obóz p. Rybarskiego i „Warsz. Dzien. Narod." oskarżyć o wysługiwanie się nie jakimś mętnym ideom komunizująco - ustrojowym, lecz realnej akcji wielkomocarstwowej Rosji, używającej komunizmu za jedno ze swych narzędzi w polityce zagranicznej.

W „Myśli Narodowej" (20 września) w art. S. Kozickiego — „Francja, Polska i Rosja" czytamy przerażające swą naiwnością uzasadnienia „frontu ludowego" państw, kierowanych przez Bluma i Stalina, do których Polska ma się całkowicie dopasować.

Propagowanie oparcia dla Polski u chwilowego (Francja) i przysięgłego (Rosja) przyjaciół czerwonego Madrytu, symbolizującego destrukcyjne dążenia Rosji i jej sojuszników europejskich bez odrobiny złośliwości porównać możemy z enuncjacjami Kom. Partii Polski".

WYMOWNA SPÓŁKA

O przebiegu wyborów miejskich w Łodzi pisze *Czas:*

„Duża część zhitleryzowanych Niemców oddała swe głosy endecji, na liście której w okręgu X figurował, między innymi, adwokat Knut Klikar, narodowiec, radca prawny konsulatu niemieckiego w Łodzi. Faktem masowego głosowania Niemców na listy endecji tłumaczy się, że partia „Jungdeutsche" otrzymała nie wiele więcej, niż 3 tys. głosów z wyborów bez mandatu".

Z tego powodu zapytuje *Robotnik:*

„Jak wygląda polityczna moralność tego endeckiego postępowania? Przez dziesiątki lat „uczono" nas z endeckiej strony, że główny wróg dla Polski — to Niemiec. A teraz zawarto blok z tym burżuazyjnym Niemcem w najgorszej edycji, z hitlerowcem! O co chodziło? O głosy niemieckie? czy o forsę niemiecką?

Tak, my szliśmy razem z niemieckimi robotnikami-socjalistami. Nikogo nie oszukaliśmy. Łączy nas wspólny program. Czyniliśmy to zawsze.

Ale ten endecko-hitlerowski blok „chyłkiem" jest cynizmem wprost bezprzykładnym. Co na to powiedzą endecy z Pomorza i Poznańskiego? albo z Górnego Śląska — którzy wiedzą, co to są hitlerowcy?!"

ILOŚĆ SKAZANYCH

W niemieckiej prasie emigracyjnej ogłoszono statystykę wyroków politycznych w III-ciej Rzeszy.

W ciągu 40 miesięcy za przekroczenia polityczne i religijne skazanych zostało w Niemczech hitlerowskich 225.000 osób.

Za przestępstwa polityczne skazano na śmierć 115 mężczyzn i kobiet.

W skutek prześladowań politycznych opuściło swą ojczyznę 125.000 obywateli.

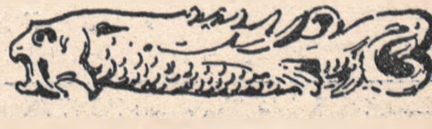
STOSUNEK DO BEZROBOTNEGO

Dla zmniejszenia klęski bezrobocia wysunięto, między innymi, projekt, by otwieranie bram w porze nocnej powierzyć bezrobotnym. Projekt ten wydaje się nierealny. Dozorcy nie dopuszczą do takiej zmiany. Przy tej okazji jedno z pism warszawskich pozwoliło sobie na obrzydliwe drwiny z ludzi pozbawionych pracy. Pisze o tym *Kurier Poranny:*

„Tym dziwniejszy wydawać się musi artykulik jednego z pism warszawskich, które sprawę pomocy dla bezrobotnych potraktowało ironicznie w formie najmniej właściwej pogardy sytego człowieka dla bezrobotnych.

Pismo usiłuje zasugerować czytelnikom przekonanie, że bezrobotnym nie wolno powierzać funkcyj otwierania bram, gdyż wszyscy złodzieje są zarejestrowani, jako... bezrobotni, a większość bezrobotnych, to złodzieje i opryszki!! Takie zdanie, jak: „Jeżeli nawet pominiemy kwestię nieufności ogółu do bezrobotnych, jako całodziennych (?) kronik kryminalnych..." — nie budzi ufności do jego autora. Nie mamy zamiaru przytaczać dalszych podobnych myśli, jak: „Człowiek w nocy zadzwoni do swojej bramy, a tu otwiera mu bramę jakiś oprych", trzeba jednak najenergiczniej zastrzec się przeciwko podobnemu traktowaniu tak doniosłej i poważnej sprawy.

Najłatwiej oczywiście każdą inicjatywę obrzucić bezmyślnymi kpinami, z góry wydać ujemny osąd; lecz tym nie rozwiąże się łatwiejszego nawet zagadnienia, niż walka z klęską społeczną bezrobocia".



Listy do „Epoki"

Szanowny Panie Redaktorze!

Do listów PP. J. Węglińskiego i Stanisława Bukowieckiego, które przeczytałam z prawdziwem wzruszeniem, pragnę dorzucić kilka słów. Myślę, że każdemu miłośnikowi Warszawy leży na sercu sprawa zasadniczego uregulowania kwestii, związanej z nadawaniem nazw ulicom stolicy. Tutaj napewno możnaby wytknąć dużo uchybień, przeoczeń, niewłaściwości, a nawet wprost skandalicznych błędów, jak wskazuje przykład nazwy ulicy gen. Zajączka, lub przykład krzywdy, jak świadczy ulica Krajewskiego.

Mnie osobiście nie tylko razi, ale wprost boli sposób uczczenia przez miasto np. pamięci Juljusza Słowackiego, a właściwie sposób naigrywania się nad jego pamięcią. Nie wszyscy napewno wiedzą, jaką reprezentacyjną ulicę wybrała Warszawa, ażeby wobec przyszłych pokoleń godnie świadczyła o pamięci rodaków dla Króla Ducha. Oto nędzny, ciemny i bezludny zaułek kilkunastometrowej długości i parometrowej szerokości, wciśnięty między ślepe ściany kamienic nosi imię Juljusza Słowackiego. Przechodzę czasem tamtędy z ul. Kopernika na Oboźną i doznaję uczucia upokorzenia, wstydząc się za gospodarzy miasta. Czyż nie lepiej by już uczynili, gdyby wogóle żadnej ulicy w Warszawie nie nazwali imieniem wieszcza?

Jeżeli *Epoka* użyczy tym słowom gościny, pragnęłabym przy tej sposobności poruszyć jeszcze jedną sprawę, która również leży mi na sercu. Nie wiem, czy też wszyscy wiedzą, iż wśród podbiegunowych pustyń lodowych, jedna z naukowych wypraw polarnych, odkrywszy nową rzekę w Nowej Ziemi, nazwała ją imieniem i nazwiskiem znakomitego geografa polskiego: Wacława Nałkowskiego. Jeśli więc cudzoziemcy umieli w tak piękny sposób ocenić i uczcić zasługi naukowe uczonego polskiego, to czyż nie jest krzyczącą niewdzięcznością zapominanie o nim w Warszawie, gdzie właśnie tworzył i był prawdziwym męczennikiem nauki? Czyż nie godziło się chociaż w nazwie ulicy lub placu dać wyraz pamięci, czyli uczynić tylko tyle, co ludzie obcy uczynili pod biegunem północnym?

Jeżeli dotąd wszystkie takie sprawy, choć stosunkowo drobne, ale kulturalnie nie mało ważne, miasto zaniedbało, przeoczyło lub wprost zlekceważyło, to może obecny prezydent, który tak celowo i energicznie podnosi i porządkuje stolicę ,znajdzie także jakiś sposób na godziwe uregulowanie kwestji nazw ulic i placów.

Łączę wyrazy wysokiego poważania

Anna Zalewska.

Warszawa.

Odpowiedzi Redakcji

Panu Karolowi W. w Łodzi. Pamiętamy.

Panu Wacławowi M. w Zawierciu. Wysłaliśmy.

Pani Zofii K. w Tarnowie. Prosimy o rękopis.

Panu Mieczysławowi W. w Stanisławowie. Nie możemy zamieścić.

Panu Janowi St. B. w Poznaniu. Słusznie.

Pani Wandzie Z. w Toruniu. Nie nadaje się do druku.

Panu Ludwikowi M. w Radomiu. Adres Wyższej Szkoły Dziennikarskiej: Warszawa, Małachowskiego 1.

Panu Adamowi K. w Bydgoszczy. Nazbyt to już „filuterne".

Panu W. M. L. w Krakowie. Rezygnujemy z takich „sensacyj".

Pani Marii R. w Kielcach. Dziękujemy serdecznie.

Książki nadesłane

Wacław Iwaniuk: Pełnia Czerwca. Poemat. Nakładem Grupy Literackiej „Wołyń". 1936.

Mjr. Dr. Stefan Pomarański: Józef Piłsudski. Wydanie trzynaste uzupełnione. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Warszawa. 1936.

Mjr. Stefan Pomarański: Z historycznych dni lipca i sierpnia 1914. Gebethner i Wolff. Warszawa. 1936.

Jerzy Kossowski: 1) Policjant Giacomo Bicorani, 2) Kapitan Tomek, 3) Szczepan Roskocha. Wydanie szkolne. Gebethner i Wolff. Warszawa. 1936.

Dr. Nina Krąkowska: Ci, których znałam. Warszawa. 1935.

Zdzisław Stahl: Polityka polska po śmierci Piłsudskiego. Wyd. Organizacji Myśli Politycz. Lwów—Warszawa. 1936.

Leon Wasilewski: O drogę do socjalizmu i pokoju. Warszawa. 1936.

Od wydawnictwa

Prosimy o nadesłanie prenumeraty za kwartał bieżący

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. PIERACKIEGO 13 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.

PRENUMERATA kwartalnie — zł. 3.— Numer pojedyńczy 60 gr.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 3069 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.